Rok XV. Nr. 3.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał III.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

NR 3

U Konfratrów w Konstantynopolu.

(Dokończenie.)

7. *Z wrażeń i przechadzek po Konstantynopolu.* Niezmiernie się cieszyłem jadąc do Carogrodu, że będę mógł oglądać owe liczne i wspaniałe bazyliki z epoki Ojców, które niestety dzisiaj wszystkie, z małymi wyjątkami, pozamieniano w meczety. Jakżeż nie pragnąć popatrzeć na te pomniki wielkiej wiary IV. i V. wieku, kiedy Kościół konstantynopolski jaśniał w całym swym blasku. Mury tych świątyń niejednokrotnie spoglądały na te prześwietne senaty znakomitych Ojców; dzisiaj jeszcze zdaje się, słyszymy echo ich słów, wychodzące z tych murów odartych ze wspaniałych obrazów, które je niegdyś zdobiły. Chcielibyśmy się przynajmniej otrzeć o te ściany, pomiędzy któremi powstały pisma Ojców świętych, pełne tchnienia Bożego. Najwięcej się radowałem, że stanę pod wielką kopułą św. Mądrości.

Konstantynopol można nazwać tronem Mądrości Bożej. Konstanty W. budując nową swą stolicę, poświęcił ją Mądrości odwiecznej, i pierwszą bazylikę dedykował Bogu ku czci św. Zofii. Konstantynopol, jak wiemy, stał się też obrońcą wszystkich tajemnic wcielenia Mądrości odwiecznej, tutaj to na licznych soborach tacy Ojcowie, jak Chryzostom, Grzegórz z Nazyanzu i cały szereg innych biskupów bronili tajemnic naszej wiary św. Wspaniała Aja Sofia ustawicznie oko nasze ku sobie zwraca, i zdaje się być tylko słabym wyrazem owych wielkich myśli teologicznych, które się tutaj zrodziły, a których głębokości i wzniosłości my jeszcze po wiekach piętnastu nie potrafimy dosięgnąć. Oglądać bazylikę św. Zofii, dziś meczet Aja Sofia, to było najgoretszem mem życzeniem, gdym jechał do Konstantynopola. Zasmuciłem się wszakże bardzo,

gdy się dowiedziałem, że właśnie na nieograniczony czas zabroniono wstępu do meczetów Stambułu wszystkim cudzoziemcom. Było to właśnie w czasie gwałtownych rozruchów w Maroku, walka rewolucyjna prowadzona pod hasłem wojny św., podniecała ogromnie fanatyzm muzułmański, to też rząd turecki słusznie się obawiał, aby przy zwiedzaniu meczetu przez chrześcijan nie przyszło do rozlewu krwi. Nawet przez ambasadę nie można było postarać się o pozwolenie zwiedzenia meczetu św. Zofii. Wogóle nie miałem szczęścia w Konstantynopolu, bo także najpiękniejsza część muzeum tak zw. Czinili kiosk w starym Seraju było zamknięte z powodu przebudowy. Jak wiadomo, znajdują się tam prześliczne sarkofagi grecko-fenickiej sztuki, odnalezione niedawno w Saidzie w Starym Sydonie.

Chcąc mieć wyobrażenie o położeniu Konstantynopola, trzeba się wdrapać na szczyt wieży Galaty, skąd się ma rozległy widok na Skutari, Kadi Keui, a przedewszystkiem na port zewnętrzny przy moście na Kara Keui, cały Złoty Róg, aż po parki nad słodkiemi wodami Europy, a zwłaszcza na Stambuł. Również śliczny widok mają konfratrzy u św. Benedykta, z terasy domu swego, położonego 40 metrów ponad poziom morza. Godziny wieczorne, zwłaszcza bezpośrednio przed zachodem, lubiłem spędzać na najwyższej terasie domu św. Benedykta, gdy słońce zachodząc całymi strumieniami złotych promieni zalewało Złoty Róg, Bosfor i morze Marmara. Możemy stąd znakomicie wytworzyć sobie pojęcie o planie Konstantynopola. Tuż pod sobą mamy brudne i ciasne ulice Galaty, oko jednak szybko się nad niemi przesuwa i zatrzymuje się nad wodami Bosforu, które corocznie ożywiają się coraz to liczniejszemi flotami handlowemi. Ogółem co roku zawija do portu przy Wielkim Moście 10—12 tysięcy parostatków różnych państw europejskich. Nie wchodzą w rachubę statki nadbrzeżne i żaglowce, których liczba dochodzi do pokaźnej cyfry 6 tysięcy. Po drugim brzegu Bosforu wznoszą się coraz wyżej olbrzymie cmentarzyska Skutari, gdzie pod cieniem smukłych cyprysów spoczywają miliony wyznaw-

ców Islamu, którzy nie chcą spoczywać na ziemi europejskiej; widocznie czują, że nie w Europie jest ich ojczyzna, i że kiedyś przyjdzie im się wynieść na brzeg azyatycki. Bezpośrednio ze Skutari łączą się śliczne wille w Haider Pasza i Kadi Keui, położone uroczo wśród parków zielonych, złożonych z cyprysów, rozłożystych platanów i prześlicznych pinii. Tutaj widzimy, jak Bosfor nagle się rozszczepia na dwa potężne ramiona, jednem ściska bratnią dłoń morza Martwego, drugim zaś w miłosnem objęciu obejmuje potężny grzbiet Stambułu, staczającemu się łagodnymi stokami ku Złotemu Rogowi i morzu Marmara, a nad nami wznosi się Pera, ze swymi pałacami, kościołami i hotelami.

Tu chciałbym w krótkich przynajmniej rysach przypomnieć historyę miasta, które tak wielką rolę odegrało w dziejach ludzkości. Musimy się cofnąć na 700 lat wstecz przed Chr., już wtedy koloniści doryccy ocenili bystrem okiem korzystne położenie przylądka nad Bosforem, i w miejscu, gdzie dzisiaj jest stary Seraj, zbudowali osadę Bizantion. Bizantyjczycy to dostarczyli okrętów Daryuszowi, gdy się przez Bosfor przeprawiał przeciwko Scytom. Za udział zaś w powstaniu jońskiem zburzyli Bizancyum Persowie pod Xerxesem. Miasto to żywy brało udział w historyi politycznej Grecyi i Macedonii. Cesarze rzymscy obdarzali te kolonie wielkimi przywilejami, gdyż zawczasu umieli się przerzucić na stronę Rzymian, opuszczając stronę Filipa III. macedońskiego.

Aż do czasów Konstantyna W. służyło Bizancyum, jako silny port, broniący dostępu różnym samozwańczym cezarom, pierwszy dopiero Konstantyn W. ocenił znakomite położenie tego miasta. Stanąwszy po stronie religii Chrystusowej, nie mógł więcej rezydować w starej Romie, bądź co bądź wiernej swym bożyszczom i co prawda położonej już na kresach państwa rzymskiego. Właśnie Bizancyum miało być takiem nowem centrem, skąd potężną ręką dzierżyć mógł imperyum nad Azyą i Europą. 11. maja 330 r. poświęcono miasto, jako nową Romę, otoczono je murami, które jednak dzisiaj już nie istnieją, bo mury ograniczające Stambuł od zachodu

zbudował Teodozyusz II. w 413 r. Późniejsi imperatorowie aż do Komnenów w XII. w. mury te wzmacniali i w ten sposób powstał olbrzymi wał obronny, 60 metrów szeroki, gdzie trzy rzędy potężnych murów bronią dostępu do Konstantynopola od zachodu, z trzech natomiast innych stron oblany jest morzem. Do szczytu rozwoju doszedł Konstantynopol w czasie rządów Justyniana (527—565), miasto liczyło wtedy przeszło pół miliona mieszkańców. Ludność nie mogła się pomieścić w murach Teodozyusza II., to też już wtedy widzimy nową osadę po drugiej stronie Złotego Rogu, dzisiejszą Galatę. Za czasów Justyniana stał się Konstantynopol kolebką nowej kultury bizantyjskiej, która wytworzyła także nową sztukę tak w architekturze jak w malarstwie. Wtenczas też Kościół konstantynopolitański doszedł do szczytu swego rozkwitu. Ambitni biskupi starali się jurysdykcyę swoją rozciągnąć na cały wschód, wbrew ustawodawstwu kościelnemu i mimo protestu papieży, przywłaszczyli sobie tytuł patryarchów ekumenicznych. Są to przecież czasy bezpośrednio po schizmie akacyańskiej; odtąd też coraz to głębiej zaczyna się zarysowywać przepaść pomiędzy Kościołem wschodnim i zachodnim, która w 500 lat później zamienia się na zupełny rozłam i schizmę. Justynian także jest ojcem cezaropapizmu, on potrafił wciągnąć Kościół w niewolę państwową, zaczął go krępować coraz to bardziej jedwabnymi więzami swych dekretów, bezprawnie wydawanych przez jego rząd cesarski w sprawach wiary i religii. Kościół staje się coraz bardziej zależnym od państwa, co sprowadza nań szereg klęsk, a kończy się wreszcie upadkiem państwa wschodniego. Do czego doprowadziły uroszczenia cesarzy w sprawach kościelnych, najlepszym dowodem herezya obrazoburstwa, wszczętego przez cesarza Leona izauryjskiego, która postawiła państwo wschodnie na brzegu przepaści. Przez cały wiek VII. i VIII. pod murami Konstantynopola zjawiają się floty arabskie; w wieku zaś IX., X., XI. Bułgarzy ze strony lądu, a Waregorusowie ze strony morza, na lekkich swych łódkach, niepokoją spokojną ludność Carogrodu. W ten sposób państwo

wystawione na ustawiczne najazdy nieprzyjaciół, do których w XI. i XII. wieku przyłączyli się Normanowie i Seldżukowie, w coraz ciaśniejszych zamyka się granicach. Za jedyną deskę ratunku poczęto uważać związek z zachodem, rozpoczyna się cały szereg unii z Rzymem, które wszakże nigdy nie wieńczą się trwałem powodzeniem. Ściśnieni zewsząd cesarze z dynastyi Angelosów, około roku 1200 błagalnie wzywają pomocy papieża Innocentego III. Formuje się czwarta krucyata, którą chytrzy Wenecyanie, pod wodzą dzielnego doży Dandolo, prowadzą pod mury Konstantonopola, zamiast iść na podbój Palestyny. W r. 1204 zdobyli Krzyżowcy Konstantynopol; zamieniają wspaniałe miasto w kupę gruzów, świątynie zaś jego znieważają krwawymi mordami, czego zaś nie zniszczyli, to zrabowali i wywieźli na zachód. Wenecya po dziśdzień jeszcze stroi się w łupy, jakie uniosła z Carogrodu. Zdobycie Konstantynopola stanowi najhaniebniejszą plamę na całych wojnach krzyżowych. Cesarstwo łacińskie było tylko efemerycznem, powstałe wśród rabunku i krwi ściągnęło na się przekleństwo Boga i Kościoła i już w r. 1261 upadło. Cios jednak, jaki zadało Carogrodowi, był śmiertelnym, ostatnie 200 lat aż do zdobycia miasta przez Turków 1453 roku są dniami powolnego konania państwa wschodniego.

Pięćset już lat błyszczy półksiężyc nad kościołami chrześcijan, których albo wytępiono albo pozamieniano na niewolników Osmanów. Prawda, już od połowy XIX. wieku ruch wolnościowy w Turcyi coraz to głębsze zapuszcza korzenie. Podobnie jak konfratrzy, cały szereg innych zgromadzeń, tak męskich jak i żeńskich, od 50 przeszło lat pracują nad odrodzeniem ludów wschodnich.

8. *Przechadzka po Stambule.* Przejdziemy się obecnie trochę po ulicach Stambułu. Minąwszy ciasne i wązkie uliczki Galaty, zamieszkałe nadto przez stada psów, jednej maści i rasy, dostajemy się na długi i szeroki most, rzucony ponad Złotym Rogiem, w dzielnicy Kara Keui. Rojno tu i huczno; przed oczami naszemi, przesuwają się setki tysięcy ludzi w rozmaitych strojach, widzimy derwiszów w długich poważ-

nych szatach, we fezach z grubej sierści na głowach. Obok przechodzą eleganccy mnisi greccy, w lekkich, jedwabnych strojach z szerokimi rękawami; obok dam ustrojonych według najnowszej mody paryskiej, postępują panie haremowe całe otulone w welony najrozmaitszych kolorów. Przeciągają wojska sułtańskie na europejską umundurowane modłę, a obok nich ochotnicy czerkiescy i albańscy, w swoich narodowych strojach; a wszystko to skąpane w jarzącem świetle porannego słońca. W przeciągu kilku minut ma się przegląd wszystkich narodów i ras Europy, Azyi zachodniej i Afryki. Przez most ten przechodzi codzień 150 tysięcy ludzi, a z nich każdy opłaca swe przejście 10 para (4 hal.), co przynosi rządowi tureckiemu 8 tysięcy franków dochodu dziennego. W środku jest most ruchomy, po zachodzie słońca otwierają go, aby dać przystęp okrętom, chcącym się schronić w porcie wewnętrznym Złotego Rogu. Z mostu otwiera się rozległy widok na cały Stambuł, którego meczety widzimy wszystkie jak na dłoni. Zaraz naprzeciwko nas przy wielkim placu Buluk bazar (targ ryb), wznosi się wielki meczet Jeni Walidé Dżami (meczet królowej matki). Po lewej stronie, wśród zielonych gaików, stacza się lekko po morzu przylądek Stambułu, a na szczycie jego ukryty wśród parku stary Seraj; bezpośrednio z Serajem łączy się klejnot Stambułu, Aja Sofia, koronująca pierwsze wzgórze miasta Konstantynowego. Za meczetem Aja Sofia, licznymi szeregami wznoszą się coraz to wyżej, na skłonach gór staczających się ku Złotemu Rogu, dziesiątki meczetów na wzór Aja Sofii budowanych i uwieńczonych setkami wysmukłych, strzelających ku niebu minaretów. Tak z kolei podziwiamy meczety Nuri Osmanie, Sułtan Bajazet, Sulejmanie, Sułtan Mechmet, Sułtan Selim i t. d. Siadamy na tramwaj konny i szybko suniemy w stronę starego Seraju. Ulice Stambułu korzystnie odbijają się od wązkich zaułków Galaty, miejscami nawet znajdujemy dość dobrze utrzymane trotuary, ocienione pięknemi drzewami. Tu jesteśmy w centrum islamizmu. Domy prywatne, budowane bardzo często z drzewa, z powysuwanemi naprzód piętrami, a oknami

zaopatrzonemi gęstemi kratkami drewnianemi, z poza których damy haremowe mogą bezpiecznie zaspokajać kobiecą swą ciekawość. Tramwaj mija bramy Wysokiej Porty, z pałacami wezyratu i dostaje się na szeroki plac At-Mejdan. Bezpośrednio przed nami wznosi się bazylika św. Zofii.

Jeżeli już nie wolno wnijść do wnętrza wiekopomnej tej świątyni, to przynajmniej przypatrzmy się jej choć krótką chwilę. Dzisiaj odziana jest ta królowa bazylik prawdziwie w łachmany. U czterech jej węgłów, jakby na czatach stoją, smukłe co prawda i piękne minarety, lecz swemi ociężałemi podstawami, a eteryczną lotnością swych szczytów rażąco odbijają od masywnego, jakby z jednego ciosu wykutego, czworoboku bazyliki, którą nadto jeszcze niefortunnie popodpierano ze wszystkich stron ogromnymi a niekształtnymi filarami, a w dodatku pomalowano w szerokie białe i żółte pasy. Czy to z bojaźni, aby kopuła ciężarem swym nie rozsadziła całości budowy, czy też może ze złośliwości, w kalekę zamienili Turcy tę świątynię, aby meczety, postawione przez nich na jej wzór, przynajmniej na zewnątrz korzystniej się wyróżniały od starodawnej świątyni chrześcijańskiej. Rzeczywiście meczet sułtana Achmeda, położony tuż obok Aja Sofii, lekkością swych kopuł zdaje się ją przewyższać, lecz wrogowie krzyża nie mogli zniszczyć chwały jej wewnętrznej, ani zetrzeć jej charakteru chrześcijańskiego. Prawda, zamazali wapnem cudowne mozaiki, okrywające ściany świątyni, ale siły i potęgi z jaką kopuła podnosi duszę ku niebu, nie naruszyli.

Rzućmy teraz wzrok nasz do wnętrza świątyni. Aja Sofia to arcydzieło budownictwa chrześcijańskiego. Kościół św. Piotra w Rzymie i Matki Najśw. we Florencyi, pochlubić się mogą daleko wyższemi i potężniejszemi kopułami, wszelako pięknością żadna inna do dziś jej nie dorówna. Twórcom jej udało się w najidealniejszy sposób zespolić typ bazylikowy z centralną konstrukcyą. Na czemże polega wyższość św. Zofii, otóż na tem, że kopuła św. Zofii jest istotnie panią całej bazyliki, nic jej nie potrafi zasłonić przed oczami

zdumiałego widza, gdziekolwiekby stanął w jej wnętrzu, umie ona swą wspaniałością przykuć na zawsze ku sobie jego wzrok, tymczasem kopuła n. p. bazyliki watykańskiej, co prawda, dominuje na zewnątrz, ale wewnątrz staje się dopiero widoczną, gdy się tuż pod nią stanie, to też słusznie mógł zawołać Justynian, kiedy poświęcał Bogu ten kościół: „Zwyciężyłem ciebie, Salomonie“.

Bazylika Justyniana stanowi prawie kwadrat, jeżeli odetniemy od niej narteks, 60 m. długi a 10 m. szeroki. Wnętrze bazyliki ma kształt greckiego krzyża, długość jej wewnątrz, nie licząc w to absydy, wynosi od wschodu na zachód 75 m. i 60 cm.; zaś od północy na południe 70 m. i 30 cm. Podzielona jest na trzy nawy: środkowa szerokości 33 m., a nawy boczne przeszło po 15 metrów. Wszystko to ugrupowane koło wielkiej kopuły. Kopuła wznosi się na czterech olbrzymich filarach, które potężnymi łukami o rozpięciu 33 m. silnie związane, podtrzymują ją w ten sposób, że kwadrat podstawy zapomocą czterech trójkątnych wrożników sferycznych przechodzi w olbrzymie koło o średnicy 32 m., opatrzone galeryą; ono stanowi właściwą podstawę kopuły, wzniesionej 57 m. ponad posadzką. Kopuła nie ma więc ani tamburu, ani latarni, za to na najniższym swym skłonie, opatrzona jest 40 oknami, przez które słońce potokami światła zalewa wnętrze świątyni. Na łukach filarów podtrzymujących kopułę od wschodu i zachodu, wspierają się dwie półkopuły o takiem samem rozpięciu jak główna, one znowu przechodzą każda w dwie mniejsze półkopuły, między które od wschodu wcina się wspaniała półkolista absyda; w ten sposób na siedmiu półkopułach wsparta jest wielka kopuła św. Zofii. Nawy boczne przedzielone są od nawy głównej dwupiętrowemi arkadami, podtrzymywanemi przez 107 kolumn monolitowych z marmuru, 40 tworzy pierwsze piętro a 67 drugie. Ponad arkadami drugiego piętra, obiega całą bazylikę wkoło wązka galerya. Widzimy z tego słabego opisu, że bazylika Justyniana jest najdojrzalszem owocem geniuszu ludzkiego, i tutaj naj-

widoczniej ujawnia się ów tytaniczny wysiłek, z jakim chrześcijaństwo, ociężałe umysły ludzkie z tryumfem podnosi ku niebu.

Zostawiamy z lewej strony stary Seraj, który był świadkiem tak licznych dramatów i tragedyi w dziejach sułtanów tureckich. Zajmuje on miejsce dawnej Akropolii greckiej. Aż do połowy XIX. w. służył za pałac sułtanom, póki Abdul Medżid, ojciec Abdula Hamida, nie przeniósł swego mieszkania do Dolma Bakcze nad Bosporem. Teraz zwracamy się ku zachodowi na wielki plac At-Mejdan, tu w starożytności był hypodrom, słynny z licznych walk zielonych i niebieskich z czasów Belizara. Igrzyska huczne w tym hypodromie wywoływały piorunujące kazania św. Chryzostoma, ponieważ świętokradzko zakłócano spokój nabożeństw w starej bazylice św. Zofii, która stała w tem samem miejscu, co bazylika Justyniana. Gdy wchodzimy na Mejdan, uderza nas najpierw, nowa, ośmioboczna budowla, z białego marmuru; na ośmiu czarnych, marmurowych kolumnach wznosi się kopułka, wewnątrz wyłożona złocistą mozaiką, a wśród niej naprzemian wypisano kaligraficznie alfabetem arabskim imiona Wilhelma II. i Abdul Hamida. Jest to studnia, którą kazał wznieść własnym kosztem Wilhelm II., na pamiątkę swej wizyty u sułtana Abdul Hamida, który podobno szczerą przyjaźnią darzył potężnego cesarza Teutonów. Studni podobnych znajdujemy w Stambule, jak wogóle w miastach wschodnich, całe setki, niektóre z nich to prawdziwe cacka budownictwa tureckiego. Sułtanowie budowali takie studnie z pobożności, Wilhelm II. zaś za ich przykładem ufundował tę studnię, dla okazania miłości ludowi tureckiemu. Przyznać trzeba, że imię Wilhelma wywołuje wielki urok na ludach wschodnich.

Na Mejdanie stoją jeszcze po dziśdzień trzy pomniki starożytności greckiej. Pierwszy to obelisk, który postawił w środku hypodromu Teodozyusz W. Na ścianach, strzelistego monolitu granitowego czytamy imię jednego z największych faraonów, Tutmosisa III. z dynastyi XVIII. Obelisk, postawiony jest na marmurowym cokole, zdobnym w piękne

płaskorzeźby, przedstawiające Teodozyusza w otoczeniu swego dworu, przypatrującego się igrzyskom i rozdającego wieńce nagrody. Drugi pomnik przenosi nas do bitwy pod Plateami. Jest to kolumna bronzowa, utworzona ze splotów trzech wężów, a niegdyś zakończona misternie wykonaną czaszą; jest to exvoto, ofiarowane przez Greków Apollinowi w Delfach, za zwycięstwo pod Plateami. Na samym zaś końcu tego placu wznosi się tak zw. kolos, czworoboczny wysoki słup kamienny, pokryty niegdyś bronzowemi płytami. Nie wiadomo, kto ten pomnik budował i jakie jego przeznaczenie; na istniejącym jeszcze fragmencie chlubi się Konstanty VIII. Porfirogeneta, że odnowił jedną stronę kolosu, mogącego iść w porównanie z kolosem w Rodos. Od strony południowo-wschodniej ozdabia Mejdan meczet sułtana Ahmeda I., który otacza sześć smukłych minaretów. Zwiedzamy jeszcze muzeum jańczarskie, a potem udajemy się do wielkiego bazaru Stambułu, zajmującego całą dzielnicę miasta. Bez przewodnika niebezpiecznie się zapuszczać w jego kręte zaułki. Utrzymany jest ten bazar nadzwyczaj czysto i schludnie, szczególniej interesuje część, gdzie złotnicy powystawiali swój towar, wykonany z najwyszukańszą subtelnością.

9. *Wycieczka do Ejub i Fanaru.* Dzień przed odjazdem z Konstantynopola wybrałem się na wycieczkę do Ejub, położonego nad Złotym Rogiem. Przy wielkim moście na Kara Keui siadłem na stary i nędzny statek pełniący służbę na Złotym Rogu. Ejub jest to miejscowość pełna świętych wspomnień dla Turków i Arabów. Jednym z największych marzeń Mahometa było zdobycie Konstantynopola, już naprzód błogosławił prorok temu narodowi i monarsze, który zdoła zdobyć to miasto dla wyznawców islanu. Rzeczywiście już koło roku 640 floty arabskie kuszą się o zdobycie Carogrodu. W jednej z takich wypraw brał udział chorąży proroka Ejub, i jemu to podobno udało się zatknąć chorągiew na murach Konstantynopola; jednakże śmiałość swoją przypłacił śmiercią. Zwłoki jego pochowano niedaleko miasta, a jak twierdzi podanie tureckie, na dzień przed zdobyciem

Stambułu przez Mahometa II. w r. 1453 miano cudownie odnaleźć zwłoki Ejuba, co takiem napełniło męstwem upadające na duchu wojsko tureckie, iż zaraz nazajutrz zdobyło Stambuł. Z wdzięczności za to postawiono Ejubowi meczet, do którego nie ma przystępu żaden europejczyk. W meczecie tym odbywa się przypasanie miecza każdorazowego nowego sułtana. Dokoła meczetu ciągną się wielkie cmentarze muzułmańskie, mnóstwo tu najwspanialszych türbe, grobowców. Wiele z tych grobowców urządzono jak domy mieszkalne, wewnątrz wysłane najdroższymi dywanami, pięknemi firankami ozdobiono okna, a właściwe sarkofagi misternie rzeźbione z białego marmuru. Z Ejub mamy śliczny i rozległy widok na Konstantynopol, a zwłaszcza na Perę i Galatę. Stąd puściłem się z powrotem, aby zwiedzić Fanar, to jest dzielnicę grecką, gdzie się mieści rezydencya patryarchów konstantynopolskich. Po drodze miałem sposobność podziwiać olbrzymi mur obronny, pamiętający jeszcze greckie czasy, którego założycielem jest Teodozyusz II., a nad którego wykończeniem pracowała jeszcze dynastya Komnenów w XII. w. Rezydencyą patryarchy konstantynopolitańskiego jest pałac nader skromny, co do swej powierzchowności, imponuje zato swymi rozmiarami. Tuż obok pałacu znajduje się starożytna katedra patryarchalna, zbudowana jeszcze podobno w r. 550; jest to mały i ciemny kościółek w stylu bazylikowym. Spodziewałem się wspanialszej katedry dla reprezentanta wszystkich ortodoksów. Pokazują tutaj tron i ambonę św. Jana Chryzostoma; tron ten jest zrobiony z drzewa w stylu bizantyńskim, z bardzo ładną inkrustacyą z kości słoniowej. Obok niego znajduje się mniejszy tron dla przedstawiciela sułtana, a naprzeciwko pięć stal dla reprezentantów różnych kościołów uznających jeszcze władzę patryarchy konstantynopolitańskiego. Miejsca te zarezerwowane są dla exarchów rumuńskiego, czarnogórskiego, bułgarskiego, greckiego i serbskiego. We wspaniałym ikonostazie odnajdujemy mnóstwo wspaniałych obrazów, między innymi prześliczny, starożytny obraz Matki Boskiej Zwycięskiej.

W kościółku tym pokazują cały szereg relikwii i tak przedewszystkiem część kolumny Ubiczowania Pana Jezusa, jest ona ukryta w murze, ozdobionym relikwiarzem, ale tak, że można się jej dotykać rękami. Dalej w pięknych trumnach spoczywają zwłoki św. Eufemii, św. Teofanii, cesarzowej greckiej, i relikwie matki Machabejczyków. Trumnę św. Teofanii można otworzyć i widzimy w niej wysoką postać kobiecą poowijaną w złote tkaniny, twarz dość dobrze zachowana, ale zupełnie czarna. Pełen radości opuszczałem tę świątynię, która mi przypominała szereg wielkich postaci, jak św. Chryzostoma, św. Grzegorza z Nazyanzu, św. Ignacego, wygnanego za wierność Rzymowi z Konstantynopola przez Focyusza, i świętych Germana i Tarazyusza, tych wielkich czcicieli Niepokalanego Poczęcia Matki Najśw. Wszystkie zaś inne bazyliki, istniejące po dziś dzień w Konstantynopolu, pozamieniano na meczety. We Fanarze spotykamy dużo starożytnych ruin. W tej dzielnicy skupia się jeszcze dzisiaj najżywsze życie greckie; z Fanaru to wyszły liczne rody fanaryockie, które tak wybitną odegrały rolę w walkach wolnościowych w Grecyi. Stąd także podtrzymywany jest ustawicznie ten fanatyczny duch nowogrecki, który pod pokrywką religii, przez szkoły i liturgię grecką pracuje nad wynarodowieniem Bułgarów i Arabów. Jak widzimy z historyi patryarchatu greckiego, nie potrafił się on nigdy wznieść ponad ciasne narodowe interesy greckie. Z Fanaru to po wszystkie czasy od XV. w. rozsyłano biskupów po Rosyi, całej południowej Słowiańszczyźnie i po Azyi. Wszystkie intratne beneficya pozagarniali chciwi Fanaryoci w swoje ręce, ale to spowodowało ostateczny upadek patryarchatu, który dzisiaj minimalną jedynie zwierzchność wykonuje. W ostatnich jeszcze czasach Fanar z całą zawziętością pracował nad wytępieniem Bułgarów, znaną przecież jest rzeczą, że biskupi fanaryoci, wizytując parafie bułgarskie, armatami niszczyli wioski niechcące przyjąć szkoły i liturgi greckiej. Bułgarzy co prawda zwyciężyli, wywalczyli sobie odrębny egzarchat, ale duch fanatyczny Fanaru nie przestawał wichrzyć. Może nowe rządy

w Turcyi położą kres błędnej polityce patryarchów, obliczonej na zysk osobisty i na szerzenia narodowości greckiej.

10. *Ostatnie chwile i wyjazd z Konstantynopola.* Prędzej niż się spodziewałem, musiałem przerwać miły mój pobyt u konfratrów w Konstantynopolu. 28. sierpnia dowiedziałem się, że jedyne wygodne połączenie do Palestyny będę miał na okrętach rosyjskich, gdyż francuskie idą wprost do Port Said, zatem musiałbym się był poddać kwarantannie w Bejrucie lub Jaffie, na co nie miałem najmniejszej ochcty. Musiałem tedy najbliższym okrętem rosyjskim, który 29. sierpnia odjeżdżał, wybrać się w dalszą podróż. Załatwiwszy przeto wszystkie formalności z biletem, poszedłem do konsulatu niemieckiego, aby dać wizować swój paszport, i na tej podstawie wystarać się u władz tureckich o nowy paszport t. zw. tezkere. W Turcyi bowiem nawet z jednego wilajetu do drugiego, nie można podróżować bez paszportu, przed każdą podróżą obowiązanym się jest zaopatrzyć swoje tezkere wizą turecką, opłacając się naturalnie w każdym wypadku na nowo.

Wolne chwile południowe 28. sierpnia poświęciłem na wizyty u naszych Polaków w Konstantynopolu. Wybrałem się tedy na Perę do ks. Wiszniewskiego, który jest wikaryuszem w kościele katedralnym delegata apostolskiego. Pera ma charakter miasta europejskiego, ulice są proste, szerokie, stosunkowo czysto utrzymane. Dokoła domów, budowanych w stylu europejskim, znajdujemy często piękne ogródki, lecz na ulicach bliższych Galaty tętnieje jeszcze wielki ruch handlowy i przemysłowy. Ks. Wiszniewskiego spotkałem właśnie na tej przechadzce, bo szedł na rekolekcye do seminaryum. Odrazu zaproponował mi trzydniową misyjkę dla Polaków w Adampolu, lecz z bólem serca musiałem sobie odmówić tej przyjemności, gdyż w takim razie musiałbym przedłużyć swój pobyt w Stambule do trzech tygodni, na co sobie nie mogłem pozwolić, skoro już w pierwszych dniach października miałem się wybrać z Jeruzalem w podróż do Arabii Skalistej, do której chciałem się przedtem dobrze przygoto-

wać. Pożegnałem się tedy z uprzejmym ks. Wiszniewskim i tramwajem konnym przejechałem się na obszerny i piękny plac Taxim, skąd pieszo poszedłem do jednej z najprzyjemniejszych dzielnic Pery, Ferekeui. Położona jest bardzo wysoko; u jej stóp widzi się Bosfor, ze wspaniałymi pałacami Dolma Bakcze, rezydencyą obecnego sułtana, a nieco dalej wśród wspaniałych ogrodów i parków, kryje się Ildiz Kiosk. W tej to dzielnicy w zacisznem ustroniu znajduje się malutka kapliczka, licznie odwiedzana przez wszystkich mieszkańców Konstantynopola; jest to klasztor i kościółek katolickich Gruzinów, należący do kongregacyi georgiańskiej Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny. Wstąpiłem tedy na chwilkę do tej kapliczki, aby sobie wyprosić błogosławieństwo na dalszą drogę. Jakąż jednak była wielka moja radość, kiedy w głównym ołtarzu ujrzałem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a pod nim polski napis „Pod Twoją obronę uciekamy się“. Dopiero na obczyźnie zdajemy sobie sprawę, jak bardzo serce nasze przywiązane do wszystkiego, co swojskie i rodzime. Widok obrazu Matki Boskiej i polski napis tak głęboko mię wzruszył, że nie mogłem się od niego oderwać, z tem większą też ufnością i otuchą polecałem się tej naszej dobrej Matce, aby mię otaczała zawsze swoją macierzyńską opieką. Dowiedziałem się później, że ołtarz wielki i obraz ufundowała Polka, pani Jordan. W tymsamym kościółku w bocznej kaplicy znajduje się grota Matki Boskiej z Lourdes. Cała kapliczka, obwieszona licznemi wotami, świadczy o wielkich łaskach, jakie stąd się rozlewają na całe miasto, które niegdyś tak głęboką żywiło cześć do Najśw. Dziewicy. Ołtarz Matki Boskiej z Lourdes ciągle otoczony rzeszami wiernych i pobożnych, a podobno nawet sułtan Abdul Aziz, poprzednik Abdul Hamida, incognito pielgrzymował do tej statuy Matki Najśw., a matka jego, z pochodzenia gruzinka, przyjechała publicznie powozem przed kościół, i własnemi rękami uwieńczyła skroń Boga Rodzicy prześliczną złotą koroną. I dzisiaj jeszcze muzułmanie chętnie się skupiają koło Jej obrazu, czcząc Ją na swój sposób i prosząc o rozliczne łaski.

Z powrotem wstąpiłem do kościoła Matki Najśw. de Draperis. Po wspaniałych marmurowych schodach, wstępuje się na obszerną terasę, na której zbudowano kościół ku czci Matki Boskiej. Było to pod wieczór i tutaj znowu napotkałem mnóstwo wiernych, zatopionych w pokornej modlitwie. Kościół ten ujmuje swoją pięknością i nadzwyczajną czystością. Obok znajduje się klasztor Braci Mniejszych, przy którym mieszka O. Kiefer, tak bardzo zasłużony koło kolonii polskiej w Konstantynopolu. Jest to staruszek o bardzo ujmującej powierzchowności. Przyjął mię z prawdziwie polską serdecznością i wypytywał o dawnych znajomych z Krakowa i ze Lwowa, o ś. p. ks. Stasionisa i ks. Grzegdalę. Ucieszył się niezmiernie, gdym mu przyniósł pozdrowienie od ks. Blocka, którego jeszcze pamięta z lat młodych i serdecznie polecał mi go pozdrowić. O. Kiefer cieszy się powszechnym szacunkiem w Konstantynopolu. O. O. Franciszkanie, do których O. Kiefer należy, zostają pod opieką rządu austryackiego. W domach naszych Sióstr spotykałem zwykle po kilku staruszków Polaków, o których dużo dobrego się dowiadywałem.

W ten sposób bardzo przyjemnie przeszły mi dni w Konstantynopolu; to też nie bardzo mnie pociągała dalsza podróż, trzeba było użyć całego zasobu energii, aby się stąd wyrwać.

Nazajutrz rano zapłaciłem bilet, przyczem przez pomyłkę zostawiłem jedną lirę turecką (23 fr.) przez nieuwagę przy kasie, ale sumienny ajent rosyjski natychmiast wysłał za mną kawasa, abym ją sobie, siadając na okręt, odebrał.

Okręt nasz „Tygrys“ miał punktualnie o godz. 4-tej po południu opuścić port nad Bosforem. Przy wsiadaniu znowu trzeba się poddać rewizyi; ponieważ okręt stał o jakie 50 m. od brzegu, ponownie nieprzyjemny targ o łódkę. Na morzu jeszcze musiałem się raz wylegitymować paszportem tureckim i tak dopiero pozwolono mi wsiąść na pokład „Tygrysa“, z którym nie miałem się już rozstać przez całe ośm dni.

Okręt naturalnie nie odpłynął o godz. 4-tej, stał aż do zachodu słońca na wodach Bosforu, zaczem do woli mogłem się napatrzeć raz jeszcze na wspaniałą panoramę Stambułu.

Ks. W. Michalski.

Z Parany.

List ks. Mięsopusta z Prudentopolis do Przew. ks. Wizytatora, dnia 30. marca b. r.

Pisałem w tych dniach obszerniejszy list do księdza Lewandowskiego. Opisałem mu to, co go istotnie bardzo zajmuje: kwestyę indyjską. Dotknąłem przytem przeszłości naszego miasteczka. Może to i księdza Wizytatoraby zajmowało, dlatego nowe szczegóły tu dodam.

Wracał wczoraj ks. Wróbel od chorego. Daleko był bardzo, bo wyjechał stąd rano o godzinie siódmej, a wrócił dopiero o godzinie ósmej wieczorem. Gdy już wjeżdżał do miasta, kolonista towarzyszący mu, powiada do niego: Proszę księdza, tu już przed nami musieli być ludzie, i zaczyna mu opowiadać o tem, co wykopywali, gdy robili drogę, albo stawiali domy. W jednem miejscu wykopali nożyczki i naczyńka gliniane, podobne do butelek atramentowych; w innem duży zegarek i kości ludzkie. Gdy jeszcze to się weźmie na uwagę, że inne jeszcze rzeczy znajdowali i to w kilku miejscach jak n. p. metale, węgle drewniane, słupy, trudno oprzeć się przypuszczeniu, że musiało już tu przed nami wznosić się jakie miasteczko z pewną cywilizacyą. Ciekawy tylko byłbym widzieć te napisy, o których opowiadał mi inżynier Chapot, a wtenczas śmiało jużby można orzec: Pracujemy na dawnem stanowisku jezuickiem. Jak tylko będę mógł, będę to badał. Jeśli faktycznie znajdę napisy, to je odfotografować każę i poślę księdzu Wizytatorowi.

Chciałbym kiedyś, jeśli będę mógł, napisać coś do *Roczników* o Jezuitach w Paranie, a zwłaszcza w Prudentopolis. W obecnym tygodniu oglądałem sztuczną grotę, niestety zniszczoną, w której w chwili objęcia szakru przez niejakiego Wołka, o trzy kilometry stąd, znajdowały się jeszcze trzy łóżeczka z paproci i schódki do małego otworku

u góry. Kto tu mieszkał? Indyanie? Ale oni tak nie mieszkają. A więc prawdopodobnie Jezuici, uciekając około roku 1638 rzeką od São Antonio do nas, musieli tu się zatrzymać. Nadto przechowuje się tradycyjna legenda o ich ukrytych skarbach w Prudentopolis. Jednej rzeczybym pragnął, to jest zbadać owe napisy, ale zejść na dół przy wielkim wodospadzie, trud niemały, a tem bardziej odnaleźć je. Ale są Brazylianie, co znają wejście i wiedzą, gdzie mają się mieścić. Nie będę żałował trudu. Jeśli przekonam się na własne oczy o prawdziwości tego i jeśli będę mógł rozumny wyciągnąć wniosek z tych kamieni, będę miał satysfakcyę podobną do tej, którą miał ks. Wilhelm Michalski, oglądając zabytki starożytne na wschodzie.

Na Xavier da Silva chwilowo przestali posyłać ludzi, bo podobno niema tyle miejsc, na ile zakroili. Brak tu zmysłu organizacyjnego. Dopiero 140 domów jest gotowych od ośmiu miesięcy, więc niektórzy jeszcze w barakach. Ludzie słabną, umierają, brak troskliwości o hygienę. Gdy się przechodzi około budek, trzeba sobie nos zatykać, a tam ludzie mają miesiącami oddychać. Z początku marły tylko dzieci, a teraz już starsi. Gdyby choć aptekarz tam mieszkał, bo lekarz istnieje, pobiera 2000 milrejsów miesięcznie wraz z apteką, ale mieszka na kolonii holendersko-niemieckiej *Gonçalves Junior*, przy stacyi kolejowej o siedm mil stąd oddalonej. Smutny widok miałem ostatni raz, gdym wracał z tej kolonii. Dziecko dwuletnie chore już dłuższy czas, bierze ojciec na ręce i niesie do Prudentopolis. Cztery kilometry od miasta zwraca się do domu i powiada: Już niedożyje. Inna kobieta przychodzi z chłopcem, lecz ten umarł, zaledwo opatrzył go lekarz. Przed miesiącem pobili emigranta subjekci ze sklepu dostawnego i poranili go nożem. Dopiero inny Polak go wyswobodził, wydobywszy rewolwer. Byłem tam niedawno dopiero, może trzy tygodnie, a znowu proszą, aby przyjechać do nich, bo wielu jest chorych. Wyręczy mnie jutro ks. Wróbel, bo mnie jeszcze noga po stłuczeniu boli i boleć mnie będzie jeszcze jakie dwa lub trzy tygodnie. Byłem

przedwczoraj u chorego, ale na szczęście pod miastem o 4 klm. stąd. Po świętach jedziemy obaj na Miguel Calmon. Był tutaj przed dwoma tygodniami p. konsul Haller. Tu i na Miguel Calmon badał wszystko szczegółowo. Wydało się między innemi, że jeden, mimo to, że jechał okrętem rządowym, jednak zapłacił za bilet; innym, a takich wielu, poginęły rzeczy. Wszystko zanotował i obiecał, że muszą je dostać, a pieniądze muszą im zwrócić. Choć przestrzeń między Prudentopolis a Miguel Calmon nie bardzo wielka, bo wynosi trochę więcej jak siedm mil, jechaliśmy przeszło dziesięć godzin, bo przy domach schodził z konia, żądał książeczek sklepowych, spisywał ceny, nie bał się nawet, że się osmoli, bo brał do rąk rądle i rądelki.

O misyi w Araukaryi pisze ks. Bronny z Abranches, dnia 2. kwietnia b. r.

Z początkiem postu, to jest od pierwszej niedzieli przez jedenaście dni byłem z ks. Steinsdorferem po raz pierwszy na misyi w Araukaryi, miasteczku municypalnem o 8 klm. odległem od Thomas Coelho. Miasto to i okolica jest zamieszkałe przez Polaków w liczbie około 6000, proboszczem jest tam ks. Anusz, którego z pewnością ks. Wizytator zna z pobytu w Paranie. Misye te później, gdy będę miał więcej czasu, opiszę — na razie zaznaczam tylko, że ks. Biskup chce nam tę parafię oddać. Gdy byłem u niego po misyi, pytał się mnie, czy ks. Bayer już pisał do ks. Wizytatora po księży i po ilu, a ilu ich będzie mogło przyjechać do Parany. Ogólnie patrząc na nasze pole pracy, zdaje się wszystko zapowiadać dobrze, wszędzie widać życzliwość, zadowolenie i uznanie, oraz życzenie u kolonistów, abyśmy osiedli na innych także koloniach.

W Abranches, pisze także ks. Bronny, jest towarzystw popierających oświatę trzy. Do jednego dojeżdżam raz w miesiącu po nieszporach. Urządzam pogadankę o sprawach bieżących, potem małą prelekcyę z zakresu historyi, geografii, gospodarstwa, rolnictwa. Kończymy śpiewem.

Historya Zgromadzenia w Irlandyi.

Podług notatek ks. Jakóba Carpenter'a.

(Ciąg dalszy).

Utworzenie prowincyi (1848).

O. Generał Étienne pisał w noworocznym cyrkularzu 1849 r.: „Nadzwyczajny wzrost Zgromadzenia i powodzenie w pracy, nadto rosnąca wciąż liczba powołań i założenie nowego domu w Cork, pozwoliły nam utworzyć nową prowincyę w Irlandyi, której wizytatorem został ks. Dowley". W tym samym też roku ma już prowincya irlandzka swoich przedstawicieli na konwencie generalnym w osobie ks. Jakóba Lynch, zastępcy wizytatora, ks. Tomasza Mac Namara, superyora domu w Phibsborough, i ks. Rogera Kichham, superyora domu w Cork. Ks. Dowley kreśli stan Zgromadzenia w Irlandyi w liście do O. Generała w następujących słowach: „Otwarcie pierwszych domów pozwala nam dobrze wróżyć o przyszłości Zgromadzenia w Irlandyi. Liczba jego członków wynosi obecnie 39, co stanowi prawdziwą radość dla mojego serca. To pewna, że krew wyznawców z czasów Henryka VIII., Elżbiety i następców wydaje już dzisiaj piękne owoce rozwoju katolicyzmu w Anglii i zapowiada jeszcze piękniejsze nadzieje na przyszłość. Nasi Misyonarze mają tę pociechę, że ich ciężka praca i życie pełne poświęcenia nie pozostanie bez skutku. To też wszyscy przykładają się jak najgorliwiej do dzieła, a miłosierdzie Boże dokonywuje przez ich ręce wiele cudów i nie szczędzi nam bynajmniej łask swoich".

List ten przytoczył także O. Generał w swoim noworocznym cyrkularzu z r. 1851. Dodać jeszcze należy, że ks. Dowley wśród tych ciężkich trudów dojrzał rychło dla nieba,

to też zabrał go Bóg do siebie w r. 1864. Jak bardzo leżała na sercu ks. Étienne prowincya irlandzka, możemy poznać z licznych jego listów w tej sprawie pisanych. W r. 1852 zaszczycił Konfratrów irladzkich swoją obecnością w Castleknock, gdzie rezydował wizytator. „Chciałem się“, pisze, „odwdzięczyć moim Konfratrom za tyle pociech, jakie mi sprawili przez budujące życie i przez gorliwość w mozolnej pracy. Niezmiernie się ucieszyłem, gdy mnie otoczyło ich grono, liczące 35 księży i 12 braci; wszyscy mają jakby jedno serce. Jeden duch panuje wśród nich, duch miłości, który umie porwać za sobą, zapalić i Bogu pozyskać. Można o nich powiedzieć, że są prawdziwymi Misyonarzami na zewnątrz, a Kartuzami u siebie. Zachowanie św. Reguł, to dla nich mur ochronny“.

Sheffield (w Anglii) (1853).

W r. 1853 zaszedł ważny wypadek w historyi Zgromadzenia w Irlandyi, zakres działalności Misyonarzy się rozszerzył, otwarto mianowicie czwarty dom, i to w Anglii. Przez to urzeczywistniły się najgorętsze pragnienia ks. Étienne. Jak bardzo życzył sobie, żeby kontynuować misyę, zaczętą już przez św. Założyciela, widzimy z listu pisanego na Nowy Rok 1854: „Najprzód Bogu składam dzięki za łaski, które obficie zraszają naszą winnicę w Anglii. Spodziewam się, że z tego nasienia wyrośnie kiedyś drzewo, którego obalić nie zdołają żadne wichry i burze. Zdaje mi się, że to także było celem Opatrzności Bożej, aby synowie św. Wincentego nawracali zbłąkanych mieszkańców Anglii. Czyż nie użyła ks. biskupa Brigs z Beverley za skuteczne narzędzie?“ Jest tu mowa o osiedleniu Misyonarzy w mieście Sheffield w r. 1853.

Aż do 1853 r. Misyonarze nie wychodzili poza granice Irlandyi, bo Anglia była jeszcze wówczas groźną prześladowniczką wszystkiego, co katolickie. Już św. Wincenty wielce bolał nad jej odstąpieniem od prawdziwej wiary. Wysyła jednego kapłana do konsula francuskiego w Londynie w tej nadziei, że uzyska jakiś wpływ na kraj ten nieszczęśliwy.

Napróżno, w Anglii bowiem rozwielmożniła się pożoga i rozlew krwi. Lata upływały, św. Wincenty miał otrzymać nagrodę za swą gorliwość i z wysokości niebios patrzeć tylko na promyki nadziei, jakie się zapalają w sercach prześladowanych katolików. Na tronie angielskim zasiadł tymczasem książę York pod imieniem Jakóba II. (1685). Jako gorliwy katolik pragnął szczerze, aby jego poddani wrócili na łono Kościoła katolickiego. Zaczynając więc od samego siebie i swego dworu, wysyła do domu macierzystego księży Misyonarzy w Paryżu z prośbą o kilku kapłanów, którzyby mogli pełnić swój urząd w kaplicy królewskiej w Windsor. Prośbie tej uczyniono zadość; lecz niestety herezya już zbyt głęboko zapuściła korzenie w tym kraju, z Kościoła zaś katolickiego pozostały tylko resztki. Na domiar złego Jakób II. stracił koronę. Misyonarze zaś i pozostali katolicy musieli uchodzić do Francyi przed krwawem prześladowaniem, dorównywującem co do okrucieństwa pierwszym wiekom chrześcijaństwa. Dzisiaj natomiast anglikanizm chyli się coraz bardziej do upadku. „Prawa karne“ tracą coraz więcej ze swej surowości, a katolicy mogą się już pokazywać jawnie.

Podczas wielkiego prześladowania, wielu katolików schroniło się do Sheffield. Miasto to leży w hrabstwie York, 258 klm. na północ od Londynu i liczy 345.000 mieszkańców. Z powodu zaś dogodnego położenia, jest ono jednem z najpiękniejszych i największych miast Anglii. Cała dolina, rozciągająca się wokoło Sheffield, zawiera pokłady żelaza i węgla. Bliższych szczegółów o powstaniu i rozwoju tego miasta nie znamy, to tylko wiadomo, że już w XIII. w. słynęło z fabryk żelaza i stali, a od roku 1750 zaczęła się dla niego epoka coraz większego rozkwitu.

Zacny kapłan irladzki, ks. kanonik Scully, zaopiekował się katolikami. Chcąc zaś lepiej pracować nad swemi owieczkami, myślał o sprowadzeniu synów św. Wincentego; znał ich bowiem dobrze już z Irlandyi, gdzie z nimi odprawiał nowicyat, a nawet przez dłuższy czas był towarzyszem ich życia. Aczkolwiek w Zgromadzeniu nie wytrwał, to jednak

zachował dla niego synowską przyjaźń na zawsze. On to ofiarował wizytatorowi z Castleknock część swej parafii, chociaż bardzo ubogą, bez wszelkich środków utrzymania. Po ludzku mówiąc, przyjęcie takiej ofiary było zanadto niebezpieczne; lecz możliwem to było dla ludzi, przejętych duchem Bożym. Już w następnym roku widzimy w Sheffield trzech Misyonarzy z ks. superyorem Bourke na czele. Wytyczono im granicę parafii i Misyonarze osiedli bez domu i wszelkich narzędzi na nowem polu pracy, oczekując jedynie wsparcia od dobrych ludzi, dla których jeszcze nic nie uczynili. Nie zawiedli się jednak, bo Bóg im nie skąpił swych darów. Ks. kanonik Scully wynajął dla nich dom zupełnie pusty i ogołocony ze wszystkiego. Spostrzegł to lud, i litością wzruszony, pospieszył z pomocą. Misyonarze mogli się spokojnie oddawać pracy, nie potrzebując się starać o utrzymanie. Zaczęli od młodzieży i w krótkim czasie zebrali zastęp, liczący blizko 1000. Zakładali również bractwa nauki chrześcijańskiej, tak męskie jak i żeńskie. Praca rozpoczęła się w szkołach, które w braku kościołów służyły także za kaplice. Zaczęto też myśleć o budowie kościoła. Już w dziesięć miesięcy poźniej położono kamień węgielny, a na nim stanęła wspaniała świątynia, zdolna pomieścić do tysiąca wiernych. Wielka radość zapanowała wśród Misyonarzy i ludu, a superyor wołał z zapałem i wdzięcznością: *A Domino factum est istud, et est mirabile in oculis nostris.*

Zaczęła się praca nad duszami. Przedewszystkiem chodziło Misyonarzom o kobiety, narażone na utratę wiary i cnoty po różnych fabrykach; przestawały bowiem najczęściej z akatolikami. Położenie więc ich było nader niebezpieczne, bo je pogarszała jeszcze nieznajomość religii i nadzwyczajne ubóstwo. Do ich podźwignięcia użyto Sióstr Matki Najśw. One zaś otworzyły bramę córkom św. Wincentego, które Misyonarze niedługo potem sprowadzili. Wiele trudności piętrzyło się na drodze, lecz zniknęły prędko pod ręką tak gorliwego i religijnego kapłana, jakim był właśnie ks. Bourke. Siostry więc zajęły się zaraz pracą po szkołach

i wielu innemi dziełami w parafii. Zrazu, gdy się pojawiły na ulicach w swem osobliwem stroju, były przedmiotem żartów ze strony niewiernych, lecz w krótce i oni poznali błogie skutki ich dzieł miłosierdzia.

Katolicy irlandzcy zawsze wielką czcią otaczali nasze Siostry. Nawet wielu protestantów je podziwiało, widząc ich niezmordowaną pracę nad zbawieniem dusz. Pewnego razu napastował Siostry tłum nieokrzesany. W tem zjawił się jakiś żołnierz i zawołał do napastników: „Moi przyjaciele, znam ja dobrze te panie, bo je często widywałem na polu walki, a po szpitalach chodziły jako anioły pociechy wśród krzyków zrozpaczonych i umierających ludzi!“ Lecz długo jeszcze trwały uprzedzenia do nich ze strony niewiernych protestantów. Posyłali wprawdzie swoje dzieci do nich na naukę, z tem jednak zastrzeżeniom, że nie będą ich uczyć religii katolickiej. — Wiele potrzebaby jeszcze dodać, gdybyśmy chcieli wymienić wszystkie prace, jakich się Siostry podejmowały dla miłości bliźniego.

Praca misyonarska nie obejmowała samego tylko miasta wraz z jego przedmieściami, lecz sięgała jeszcze na kilka mil wokoło. Tamto po wsiach żyli chrześcijanie w większym jeszcze ucisku, trzeba więc było ich ratować. Gorliwość zatem Misyonarzy znalazła tu nowe pole pracy.

Wśród ubogich wieśniaków mieszkała bardzo pobożna, bogata rodzina, która mimo burz i napaści heretyckich trwała wiernie przy wierze św. i dopomagała gorliwie Misyonarzom w ich usiłowaniach. W pałacu tej rodziny znajdowała się kaplica, w której w niedziele i święta gromadzili się potajemnie katolicy, aby się wspólnie pomodlić i zachęcać do wytrwałości we wierze św. Brakowało im tylko pasterza. Lecz i to dała im Opatrzność w osobie Misyonarzy. Na znak rozpoczęcia nabożeństwa wystawiano białą chorągiew, by w ten sposób uniknąć podejrzeń heretyków. W roku 1855 powiększono kaplicę i otwarto dla publiczności. Odtąd w każdą niedzielę i święto jeszcze więcej zbierało się tam wiernych katolików. Misyonarz zaś odprawiał dla nich mszę św. i za-

spakajał wszelkie potrzeby duchowne. Raz w roku zaś jeden z Misyonarzy, zazwyczaj Irlandczyk, dawał rekolekcye arcybractwu Najsł. Serca Pana Jezusa, z których korzystały także i okoliczne parafie. Misye bowiem odprawiano bardzo rzadko. Po ludniejszych wsiach można było pracować tylko przy pomocy innych księży, w małych natomiast już sobie sami dawali radę.

Szczęście zaczęło im sprzyjać i Bóg im błogosławił.

Książę Norfolk, jeden z większych właścicieli miasta, wybudował ogromny dom dla Misyonarzy. Nadto przeznaczył pewną fundacyę na cele misyjne. Dwóch księży poświęcało się wyłącznie dla ludu, inni podzielili się pracą w następujący sposób. Jedni opiekowali się około siedmiu tysiącami katolików, rozprószonymi wśród protestantów; a opieka ta wymagała od nich podwójnej czujności. Jeden był kapelanem Sióstr w Howard. Ten także zaspokajał potrzeby duchowne w przemysłowej szkole dziewcząt. Inny znowu był kapelanem Sióstr w Red-Hill, gdzie miały zakład dla sierót. Jeden wreszcie sprawował urząd kapelana wojskowego, bo żołnierze nie zawsze mogli przychodzić na mszę św. do parafii.

Zajmowano się także chorymi.

Wreszcie prawie codzień prowadzili pogrzeby na cmentarz. Katolicy nie posiadali jeszcze własnego cmentarza i zmuszeni byli grzebać swoich razem z protestantami; a co gorsza, obrażano najdelikatniejsze uczucia katolickie przez czytanie protestanckich modlitw nad zwłokami zmarłych katolików. Misyonarze postanowili zmienić dotychczasowy stan rzeczy. Najpierw zakupiono znaczny obszar ziemi, otoczono go murem, a w środku wystawiono kaplicę za pieniądze ofiarnej pani, nawróconej na katolicyzm. Liczne więc i trudne zajęcia spoczywały na barkach Misyonarzy w Sheffield.

Lanark (w Szkocyi) (1859).

Lanark, to główne miasto hrabstwa tego samego nazwiska, położonego w południowej Szkocyi, w odległości 50 km. od Edinburga. Zbudowane na wzgórzu, przedstawia z daleka

wspaniały widok. Ludność zaś jego, składająca się przeważnie z przemysłowców, liczy przeszło 7500. W drugiej połowie ostatniego stulecia, znakomity uczony z Cambrigde, Robert Monteith, jeden z wielkich właścicieli szkockich, przeszedł wraz z żoną na łono Kościoła katolickiego. Widząc smutne położenie nielicznych katolików w okolicy, ofiarował 500.000 fr. na budowę kościoła, plebanii i szkoły. Następnie zwrócił się do ks. wizytatora Dowley z prośbą o przysłanie kilku Misyonarzy. Jak tu ofiary nie przyjąć? Przecież Szkocya, to ulubione pole pracy św. Wincentego! Tu zginęli dwaj jego synowie, jako ofiary miłości. Ziemia ich krwią użyźniona drogą jest także dzisiejszym konfratrom. Lecz zbyt młoda jeszcze prowincya irlandzka nie miała dosyć sił na to; zwrócić się przeto musiała do domu Macierzystego z prośbą o pomoc. Ks. Étienne pośpieszył natychmiast na ratunek. Wyznaczył na superyora domu ks. Kavanagh, a ks. Ginouvié przydał do pracy. Było to w roku 1859. — Misyami, choć to był główny cel założenie tego domu, nie mogli się jeszcze zająć, bo warunki, wśród których żyli, nie pozwalały na to. Ks. Kavanagh był niezmordowany w pracy na ambonie i w udzielaniu nauk katechizmu. Coraz liczniejsze tłumy napływały do kościoła, by słyszeć słowo Boże i przypatrzeć się ceremoniom. Szczególnie w niedzielę był kościół przepełniony; bo przychodzili nawet z daleka. Wielu osiadło w pobliżu, jedynie w tym celu, by mogli swe dzieci dać Misyonarzom na wychowanie.

Po kilku latach mogli Misyonarze oddać się głównemu swemu zajęciu. Przy pomocy Konfratrów z innych domów zaczęli dawać misye w różnych stronach Anglii i Szkocyi. Pracowali przez cały rok z krótką przerwą w lipcu i w czasie swych rekolekcyi rocznych.

Kilka szczegółów zaledwo mamy jeszcze do zanotowania. Wskutek nieszczęśliwego wypadku spalił się wspaniały kościół, wystawiony przez p. Monteith. Płomienie oszczędziły tylko presbiteryum wraz z Najświętszym Sakramentem, kaplicę Matki Boskiej, oraz mieszkanie Misyonarzy. Wypadek ten pogrążył w smutku całą okolicę; wszyscy też pospieszyli

z obfitymi darami. Siostry Miłosierdzia musiały na razie swoją kaplicę otworzyć dla wiernych, żeby mogli zaspakajać swe potrzeby duchowne. A nowy superyor, ks. Ward, zajął się odrestaurowaniem spalonego kościoła.

Obecnie prace Misyonarzy znajdują się w kwitnącym stanie. Ośmiu czy dziewięciu księży zajmuje się w Lanark robotnikami i opieką nad sierotami. Reszta przebiega Wielką Brytanię, a nawet zdążają do Irlandyi, rozsiewając wszędzie ziarno Boże.

Seminaryum irlandzkie w Paryżu (1858).

Początków paryskiego seminaryum irlandzkiego szukać należy w końcu wieku XVI. Ludwik XIII. zatwierdził je w roku 1623, a Sorbona w roku 1625. W ręce księży Misyonarzy przejść miało dopiero w połowie wieku XIX., ale już wtedy nawiązało Seminaryum serdeczne stosunki z nowopowstającem Zgromadzeniem, a zwłaszcza z jego św. Założycielem. Około r. 1650 i później spotykamy kler irlandzki w kościółku św. Firmina lub w salach kolegium des Bons-Enfants, gdzie ćwiczyli się w ceremoniach i zaprawiali do cnoty, a uczyli się unikać błędów jansenizmu. Z ich to zapewne szeregów wyszli pierwsi Misyonarze, wysłani przez św. Wincentego do Irlandyi.

W roku 1681 umieszczono Seminaryum irlandzkie w dawnem kolegium lombardzkiem przy ulicy Karmelickiej. W tym też czasie weszło ono w bliższe stosunki z uniwersytetem, którego rektorem był w roku 1701 Irlandczyk, Michał Moore. W roku 1769 wzrosła liczba seminarzystów do 180; musiano zatem otworzyć drugie kolegium przy ulicy Irlandzkiej. Wielka rewolucya rozwiązała obydwa zakłady w roku 1792. W roku 1806 otwarto Seminaryum irlandzkie na nowo. Tradycye przechowały się lub odżyły te same, odnowiła się też przyjaźń z duchowną rodziną św. Wincentego. Jeden z profesorów właśnie tego Seminaryum, ks. O'Toole poradził w roku 1838 ks. Dowley i jego zgromadzeniu w Castleknock, żeby się połączyli z Misyonarzami. W roku 1844 wstąpił jeden z wycho-

wanków kolegium irlandzkiego, ks. Wawrzyniec Gillooly, później biskup w Elphen, do seminaryum internum Zgromadzenia. A za nim poszedł w roku 1850 dzisiejszy wizytator wschodniej prowincyi w Stanach Zjednoczonych, ks. Mac Gill.

Nowa epoka nastała w Seminaryum irlandzkiem w r. 1858. Biskupi irlandzcy w porozumieniu z kongregacyą Propagandy powierzyli je kierownictwu Zgromadzenia księży Misyonarzy z prowincyi irlandzkiej. Pierwszym superyorem i rektorem był ks. Jakób Lynch, który po ośmiu latach powołany został na jedną ze stolic biskupich w Irlandyi. Trzeci rektor, ks. Mac Namara kierował kolegium przez lat dwadzieścia jeden (1868—1889) z ogromnem poświęceniem, ale także z obfitymi wynikami pracy. Misyonarzom pomagali w pracy wychowawczej i nauczycielskiej wybitni świeccy księża irlandzcy. Całe ośm lat spędził na tej pracy naprzykład sławny prymas irlandzki, kardynał Logue.

Liczba wychowanków wynosiła w ciągu wieku XIX. przeciętnie po ośmdziesięciu do stu. Większość utrzymywała się z dochodów dawniejszych fundacyi z XVIII. wieku, pochodzących z rąk biskupów, czy proboszczów lub świeckich dobrodziejów. W roku 1892 uszczuplono je, to też zmalała liczba uczniów do mniej więcej siedmdziesięciu.

Studya tak urządzono, że filozofia trwa dwa lata, teologia cztery. Najzdolniejsi uczniowie ubiegają się o stopnie akademickie w Instytucie katolickim. Wszyscy wszakże wracają następnie do Irlandyi, by pracować nad zbawieniem swych rodaków.

Armagh (w Irlandyi). — Seminaryum św. Patryka. (1861).

Armagh, stolica hrabstwa tejże nazwy, liczy około 10 tysięcy mieszkańców. Jest to stolica arcybiskupa, prymasa Irlandyi. Seminaryum tamtejsze powierzył Misyonarzom w roku 1861 ks. arcybiskup Dixon. Było to zrazu kolegium otwarte tak dla świeckich jak i duchownych. Nie wiadomo, których było więcej w pierwszych latach naszego kierownictwa. Mi-

syonarzy zaraz od pierwszych chwil po objęciu Seminaryum św. Patryka, darzyli swymi względami arcybiskupi, prymasi Irlandyi. Szczególniejszą opieką i szacunkiem otacza nasze Zgromadzenie obecny prymas, ks. kardynał Logue. U św. Patryka przestrzegają mniej więcej tego samego planu, co w innych małych seminaryach biskupich: codziennie przez kwadrans rozmyślanie, nawiedzenie Najświętszego Sakramentu, czytanie duchowne, rachunek sumienia. Uczniowie wstępują przeważnie do stanu duchownego, bo na czterdziestu pięciu zostaje dwudziestu pięciu kapłanami. Bodźcem do pobożności jest dla nich bez wątpienia codzienna Komunia św. Nasi Konfratrzy nie mają innego zajęcia poza Seminaryum, w niedziele tylko i święta odprawiają mszę św. w więzieniu, a potem jest krótka nauka do więźniów.

Obecnie pracuje tu czterech kapłanów ze Zgromadzenia, nadto jeden profesor świecki do angielskiego i matematyki, oraz osobny profesor do śpiewu gregoryańskiego.

Blackrock (1873).

Od trzydziestu lat dostarczało prowincyi irlandzkiej licznego zastępu młodzieży duchownej seminaryum internum, założone w roku 1844 w Castleknock. Aby szeregi te przejąć duchem piorwotnym i ściślejszą zapewnić łączność duchowną z centrum Zgromadzenia, wysyłano od czasu do czasu niektórych ze seminarzystów do domu Macierzystego. Odmienny wszelako klimat paryski źle wpływał na zdrowie tych młodzieńców. To też wkrótce zaprzestano wysyłać kleryków do Paryża, a natomiast, stosownie do życzenia O. Étienne, wyrażonego w okólniku z dnia 1. listopada 1867, zaczęli dyrektorowie nowicyatu udawać się na pewien czas do Paryża, by tam zapoznać się ze sposobem wychowania przyszłych Misyonarzy.

Jedna jeszcze była niedogodność, którą koniecznie należało usunąć, mianowicie ta, że seminarzyści, wychodzący po większej części z kolegium w Castleknock, odbywając w tem samem miejscu nowicyat, choć oddzieleni od dawnych kole-

gów, żyli jednak w ich pobliżu, a takie sąsiedztwo zawsze szkodliwie oddziałuje na młodzież duchowną. Zaczęto więc myśleć o bardziej odległem miejscu na seminaryum internum.

Cztery do pięciu mil na południe od Dublina w prześlicznem nadmorskiem położeniu wznosi się dzisiaj wspaniały gmach *Saint Joseph's Vincentian Novitiate,* dom wychowawczy dla przyszłych Misyonarzy, a zarazem siedziba zarządu centralnego prowincyi sięgającej dzisiaj już na Australię. Zdala od gwaru wielkomiejskiego mogą się seminarzyści spokojnie oddawać swym ćwiczeniom, a starsi klerycy studyom; zdrowe zaś morskie powietrze utrzymuje ich siły fizyczne w zupełnej czerstwości. Uroczyste przenosiny zakładu z Casteknock do Blackrock święcono w uroczystość Narodzenia Najśw. Maryi Panny w roku 1873. Czterech kapłanów wzięło w niej udział i osiedliło się od tej chwili w nowym domu: ks. Piotr Duff, wizytator i superyor domu, ks. Tomasz Morrissey, asystent i profesor, ks. Jakób Byrne, profesor, ks. Wilhelm Gavin, dyrektor seminaryum. Kleryków wszystkich było zaledwo dziesięciu. — Zapowiadający się coraz pomyślniejszy wzrost prowincyi wymagał także znacznego rozszerzenia zabudowań domu centralnego i wychowawczego. Zabiegi zdolnego i dzielnego superyora z Castleknock, ks. O'Callaghan i liczne ofiary wiernych umożliwiły to trudne zadanie. Dzisiaj wznosi się w Blackrock okazale zbudowany kościół w stylu romańskim oraz dom, dający licznemu Zgromadzeniu wygodne pomieszczenie.

Liczba kleryków waha się pomiędzy 10 a 27. Obecnie jest ich 21, mianowicie seminarzystów 13, na studyach 8.

Maynooth.

Dwóch Misyonarzy, należących do domu w Blackrock, obecnie ks. Antoni Boyle i ks. Robert Rossiter, rezyduje stale w kolegium w Maynooth, na zachód od Dublina. Jest to olbrzymi zakład, liczący około 600 studentów, zostających pod kierunkiem księży profesorów i dyrektorów w liczbie trzydziestu. Założony przed stu przeszło laty, kiedy „prawa

karne“ zaczęły powoli tracić na sile, ze szczupłą dotacyą 8.000 funtów szterlingów, uzyskał w r. 1845 potrójnie tyle, bo rząd nie życzył sobie, by młodzież duchowna nie znajdując odpowiednich zakładów w kraju, udawała się dla studyów zagranicę. Gdy w r. 1869 (wskutek billu Gladstona z r. 1868) zniesiono w Irlandyi Kościół państwowy, uszczupliły się wprawdzie dochody kolegium w Maynooth, ale biskupi uzyskali zupełną wolność w kierowaniu zakładem. Odtąd zaczął on się coraz pomyślniej rozwijać; otrzymał prawo dawania stopnia doktorskiego z teologii, z filozofii i z prawa kanonicznego. O inne tytuły ubiegają się kolegiaści w rządowym uniwersytecie. — Duchowieństwo irlandzkie ma tutaj sposobność do zdobycia znakomitego wykształcenia naukowego.

Misyonarzy powołał do Maynooth episkopat irlandzki na „ojców duchownych“ dla kolegium. Zadaniem ich jest miewać konferencye dla kolegiastów, słuchać spowiedzi św. przy pomocy księży profesorów, przyjmować komunikacye, dawać w zakładzie rekolekcye, słowem całe wewnętrzne kierownictwo duchowne.

Infirmerya jest od kilku lat w rękach trzech Sióstr Miłosierdzia. A nadto niedawno temu dodano dwie nowe Siostry, jedną dla zarządu kuchnią, drugą dla opieki nad refektarzem kolegium.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Księża Misyonarze w Meksyku.

(Cafr. Annales z r. 1908, Nr. 2).

Jak religię katolicką i język wziął Meksyk od Hiszpanów, tak samo tamtejsza prowincya Zgromadzenia księży Misyonarzy wywodzi swój początek z półwyspu pirenejskiego, choć stało się to już po wyswobodzeniu kraju z pod obcego panowania. Hiszpańska prowincya Zgromadzenia zaczęła się z osiedleniem się Misyonarzy z Monte-Citorio w Barcelonie w roku 1704. Uzyskawszy w dwa lata poźniej dekret królewski, przyznający Zgromadzeniu prawo zakładania domów na całym półwyspie pirenejskim, zaczęła się nowa latorośl coraz więcej rozrastać, tak, iż dzisiaj pomimo kilkakrotnego rozprószenia całej prowincyi i zniesienia wszystkich domów (w r. 1835 i 1868) jest jedną z najpotężniejszych, najliczniejszych w członków i z najobfitszych w pracę i dzieła prowincyi całego Zgromadzenia. A nietylko na półwyspie się rozwijała prowincya; w wieku XIX. zaczęła sięgać i do dawnych kolonii hiszpańskich. Dziś mamy niezależnych prowincyi o hiszpańskiem pochodzeniu i języku pięć: dwie na półwyspie, madrycką i barcelońską (od konwentu generalnego z r. 1902), jedną na Filipinach (1862), jedną na Antyllach (1847) oraz meksykańską (1844).

Początki prowincyi meksykańskiej. — Kiedy w r. 1835 rząd hiszpański zniósł i rozpędził wszystkie zgromadzenia zakonne, schroniła się znaczna część Misyonarzy hiszpańskich we Francyi; wielu wszakże udało się do Meksyku i zaczęło się tamże gorliwie oddawać pracy apostolskiej.

Religia katolicka jest wprawdzie główną właściwie religią w Meksyku, duch jednak liberalny i antireligijny dawno

nurtuje w tamtejszem społeczeństwie, jak wogóle we wszystkich państwach amerykańskich z przeważnie katolicką ludnością. Już w roku 1857 wydano dekret o wolności wszelkich wyznań religijnych, a w roku 1873 wydano ustawę dodatkową, ogłaszającą rozdział Kościoła od państwa, znoszącą wszelkie zgromadzenia i konfiskującą majątki kościelne. To też już w początkach osiedlenia się w Meksyku natrafili Misyonarze na trudne warunki. Mnóstwo wszakże życzliwych a wpływowych osób, szczególniej członków Towarzystwa św. Wincentego zaczęło robić gorliwe starania o uznanie Zgromadzenia przez państwo. Zabiegi te odniosły pożądany skutek; dnia 23. czerwca 1845 r., za rządów prezydenta Joachima de Herrera uzyskano dekret, przyznający Zgromadzeniu, jako korporacyi duchownej, prawo obywatelstwa w państwie i pozwalający na rozszerzanie się po całym kraju. Dla większego bezpieczeństwa na przyszłość podano także rządowi Reguły Zgromadzenia do przejrzenia i uzyskano na nie aprobatę dnia 10. września tegoż roku.

Najwięcej przyczyniło się do założenia prowincyi meksykańskiej kilka osób, mianowicie hr. Marya Anna Gomez de la Cortina, Faustyna i Julia Fagoaga oraz Cyryl Gomez Anaya. Największą jednak zasługę w samem sprowadzeniu Misyonarzy ma Dr. Emanuel Andrade. Po ukończeniu studyów medycznych w kraju udał się dla dalszego kształcenia się do Paryża. Tam to poznał działalność obydwu Zgromadzeń św. Wincentego, przypatrzył się wszystkim ich dziełom i zapoznał się z wielu Misyonarzami. To też po powrocie do ojczyzny uważał sobie za obowiązek, żeby tak pożytecznym Zgromadzeniom otworzyć wstęp do kraju. Aż do śmierci też był duszą wszystkich robionych w tym celu usiłowań. Przy tych wysiłkach nic dziwnego, że Zgromadzenie nasze wnet zaczęło w Meksyku nie tylko istnieć, ale bardzo się także rozszerzać.

Prowincya meksykańska liczy obecnie dziesięć domów: w Meksyku, Chihuahua, Culiacan, Monterey, Oaxaca, Puebla de los Angeles, Tacubaya oraz trzy w Merida. Założonych

było wszakże daleko więcej, niektóre jednak z nich istniały po kilka tylko lat, a nawet były takie, co trwały tylko kilka miesięcy, jak dom w Guadalajara. Wiele ucierpiały te domy w ciągu ustawicznych zamieszek i wojen trapiących kraj cały około połowy wieku XIX., ale szczególniej dały im się we znaki rządy antyreligijnie usposobionych prezydentów rzeczypospolitej. Przypatrzmy się pokrótce wszystkim domom, jakie powstały, a względnie upadły, w ciągu sześćdziesięciu kilku lat istnienia tej prowincyi. Będą to właściwie tylko daty statystyczne.

Meksyk (1844). — W stolicy kraju zamieszkali Misyonarze zrazu w domu hr. de la Cortina i pozostali tam do roku 1846, to jest do chwili wynajęcia dla siebie osobnego mieszkania. W r. 1853 otrzymali kościół św. Ducha wraz z przyległym doń domem. Ale już 25. grudnia 1860, wskutek wybuchłych zawichrzeń rewolucyjnych, które w następnym roku za rządów Juareza tak srogo się odbiły na Europejczykach i wywołały wspólną akcyę mocarstw oraz wyprawę francuską i osadzenie na tronie w Meksyku nieszczęśliwego cesarza Maksymiliana, musieli Misyonarze dom swój opuścić i ukrywać się. Gdy nastały spokojniejsze czasy, przenosili się z domu do domu, aż do roku 1904. Z początkiem tego roku dał arcybiskup Meksyku Misyonarzom kościół Niepokalanego Poczęcia wraz z przyległem mieszkaniem; tam zatem jest obecnie centralny dom tej prowincyi.

Puebla (1853). — Miasto Puebla de los Angeles, to stolica stanu Puebla, jedno z najpiękniejszych miast meksykańskich. Liczy przeszło 80 tysięcy mieszkańców. Jest tam stolica biskupa. — Misyonarzom oddano w tem mieście już w r. 1846 jakieś zabudowania poklasztorne i rzeczywiście spotykamy tam ślady ich pracy pod koniec tegoż roku. Głównie wszelako wezwano ich dla objęcia seminaryum dyecezalnego; w tem jednak na tyle napotkali trudności, że fundacya nie doszła do skutku. Dopiero we wrześniu 1853 r. osiedli tam Misyonarze na stałe, ale w innym niż zrazu domu,

a obowiązkiem ich było dawać misye, rekolekcye, zajmować się pracą w kościele.

Leon (1847—1860). — Leon de los Aldamas to miasto w stanie Guanajuato o 80.000 mieszkańców, z bardzo kwitnącym handlem. Misyonarzy wezwano do kierowania kolegium, założonem przez tamecznego proboszcza ks. Ignacego Aguado. Zaczęli pracę 13. marca 1847 r. W lipcu r. 1857 odjął im kolegium dekret gubernatora Doblado. Niektórzy jednak Misyonarze pozostali tamże, poświęcając się pracy apostolskiej w mieście i w okolicy. Za staraniem możnych a życzliwych osób otwarli w r. 1859 kolegium na nowo, ale ze ścieśnionym zakresem pracy, uczyli tylko łaciny i filozofii. I to wszakże odebrał im w grudniu r. 1860 nowy dekret generała Doblado; a budynki zagarnięto na rzecz państwa.

Pazcuaro (1853—1887). — Jest to miasto, położone nad jeziorem tejże nazwy w stanie Michoacan w Meksyku środkowym; liczy 12 tysięcy mieszkańców. Biskup z Michoacan, chcąc młodzieży duchownej przed przypuszczeniem jej do seminaryum dyecezalnego w Morelii dać sposobność do nabycia wykształcenia gimnazyalnego, założył w tym celu kolegium w Pazcuaro i oddał je dnia 19. października 1853 r. w zarząd Misyonarzom. Zgromadzenie wydalono stamtąd w grudniu 1858. Za drugim zawrotem pracowali tam jeszcze konfratrzy aż do definitywnego odebrania im kolegium, od roku 1879 do 1887.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprawa beatyfikacyi ks. Feliksa de Andreis.

Do licznych procesów, jakie się obecnie toczą w sprawie beatyfikacyi lub kanonizacyi synów i córek duchownych św. Wincentego, przychodzi nowy, dawno wyczekiwany.

Już w cyrkularzu noworocznym pisał O. Generał: „Jeden z założycieli Zgromadzenia naszego w Ameryce, ks. de Andreis, zmarły w roku 1820 *in odore sanctitatis,* otrzyma zapewne wkrótce tytuł Wielebnego, bo sprawa jego beatyfikacyi ma się zacząć niedługo w Rzymie“.

Włoskie zaś *Annali della Missione* podają w zeszycie I. na rok bieżący list pasterski ks. Jędrzeja Fiori, biskupa w Cuneo w Piemoncie, donoszący o rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego ks. de Andreis i nakazujący z polecenia św. Kongregacyi Obrzędów zgromadzić wszelkie listy lub pisma jakiekolwiek pozostałe po Słudze Bożym.

Ks. Feliks de Andreis urodził się 12. grudnia 1778 w Demonte, ubogiej wiosce piemonckiej, w dyecezyi Cuneo. Pod okiem zacnych i pobożnych rodziców spędził lata dziecięce w niewinności i zaczął zaprawiać się do cnót chrześcijańskich. Nauki początkowe pobierał w miejscu rodzinnem, dalsze w Cuneo, gdzie też ukończył retorykę i filozofię. Posiadał wielkie zdolności, umysł bystry i zapał do pracy; to też wielkie postępy robił w naukach.

Skończywszy filozofię zaczął myśleć o stanie duchownym i oddał się studyom teologicznym. Serce jego jednak dawno już wzdychało za ściślejszem zjednoczeniem się z Bogiem. Z zamiarami swymi zwierzył się po raz pierwszy w r. 1796 przed wizytatorem prowincyi neapolitańskiej, ks. Laugeri. Rok jednak czasu przeszło upłynęło, nim uzyskał przyjęcie do Zgromadzenia księży Misyonarzy. Dopiero 1. listopada

1797 przywdziewa suknię misyonarską w Mondovì. Wkrótce wszakże z powodu zamieszek rewolucyjnych w Piemoncie musiał się schronić w domu rodzicielskim w Demonte. Ale już 12. grudnia 1799 widzimy go znowu u Misyonarzy w domu św. Maura w Turynie.

Studya teologiczne kończył de Andreis w *Collegio Alberoni* w Piacenzy. Tam także składa śluby św. 21. września 1800, a w roku następnym otrzymuje święcenia kapłańskie.

W owym czasie ukrywali księża Misyonarze w północnych Włoszech wśród siebie jedną z najkosztowniejszych relikwii św. Wincentego, to jest jego Serce, w ozdobnym relikwiarzu srebrnym, z daru księżnej d'Aiguillon. Uniesione przed świętokradzkiemi rękami przez ks. Generała Caylę de la Garde przechowywali je już to włoscy Misyonarze już też Siostry Miłosierdzia, bądź w Turynie bądź w innych domach, pod osłoną wielkiego foliału, w którego kartkach w środku zrobiono w tym celu odpowiedni otwór. Relikwiarz z Sercem oddano w roku 1805 kardynałowi Fesch, arcybiskupowi Lyonu, który zamiast oddać go Zgromadzeniu umieścił w kościele swym katedralnym. Tajemniczą księgę, która służyła za okrycie relikwiarzowi można dotąd oglądać u SS. Miłosierdzia w domu św. Jana w Lyonie, gdzie ją z wielką czcią przechowują.

Nie potrzeba się zbyt długo nad tem rozwodzić, ile wpływu dodatniego wywrzeć musiało oglądanie tego skarbu, posiadanie go wśród siebie, na serce tak zapalne, na tak bogatą duszę, jak u ks. de Andreis, i jak głęboko musiał się przejąć duchem swego św. Ojca, gdy symbol jego miał przed oczyma.

Pełen zapału Misyonarz zaczął od roku 1802 dawać misye w okolicy Piacenzy. W r. 1806 wezwano go do Rzymu na Monte Citorio. Spełniał zrazu obowiązki profesora w kolegium Propagandy; następnie w latach 1810—1814 przewodniczył w rekolekcyach księży lub kleryków przygotowujących się do święceń, oraz w różnych zakładach rzymskich.

Zewsząd zbiegało się do niego mnóstwo osób, zwłaszcza duchownych, do spowiedzi św. i o poradę w sprawach sumienia.

W mieście wiecznem dojrzał u ks. de Andreis dawno już w sercu pielęgnowany zamysł: pracy na misyach zagranicznych. W r. 1815 przybył do Rzymu ks. Dubourg, biskup z New Orleans w północnej Ameryce, z prośbą o księży do pracy apostolskiej nad zaniedbanymi wiernymi, do nawracania niewiernych, wychowania kapłanów i prowadzenia szkół. U papieża Piusa VII. i u księży Misyonarzy na Monte Citorio uprosił sobie księdza de Andreis, który też w grudniu 1815 wyruszył z Rzymu, a 26. lipca 1816 stanął w Baltimore, a z nim księża Rosati, późniejszy pierwszy biskup w Saint-Louis, Acquarone, Caretti i Ferrari, czterech teologów, jeden brat i trzech postulantów na braci. Osiedli zrazu w Saint-Louis i zaczęli pracę misyjną.

Fakta dowiodły, jak doskonałym był wybór Piusa VII. i Misyonarzy. Rozumny zapał przełożonego kolonii misyonarskiej w Ameryce, gorąca pobożność, głębokie wykształcenie teologiczne, a nawet świeckie, znajomość języków klasycznych i nowożytnych, zwłaszcza angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego, wiele wpłynęły na rozbudzenie ruchu religijnego w miastach, w których pracowali, w Barrens, Bardstown i Saint-Louis.

Wśród trudów misyjnych dojrzał wkrótce ks. de Andreis dla nieba; w czterdziestym drugim zaledwo roku życia, kończy życie doczesne *in odore sanctitatis*, w Saint-Louis, 15. października 1820, żałowany zarówno przez protestantów jak przez katolikow.

Zgromadzenie nasze liczy dziś w Ameryce północnej 20 domów, podzielonych na dwie prowincye, wschodnią i zachodnią, a każdy zoopatrzony w licznych konfratrów i oddany rozlicznym pracom w duchu Zgromadzenia. Rozwój tak znakomity, a na przyszłość coraz pomyślniej się zapowiadający zawdzięczają tamtejsi konfratrzy w znacznej części

zasługom, modłom i wpływowi heroicznych cnót ks. Feliksa de Andreis, którego zawsze uważają i czczą jako swego założyciela. — Nic też dziwnego, że od wielu lat czynią gorliwe zabiegi około jego beatyfikacyi.

Obecnie zaczęła pracę w tym kierunku jego rodzinna dyecezya Cuneo. Żywić zatem można niepłonną nadzieję, że doczekamy się po kilku latach uwieńczenia tych starań pomyślnym wynikiem.

KRONIKA.

Austrya. — Ks. Legerer, superyor w Małem Seminaryum we Wiedniu, opisuje w swym liście z dnia 14. grudnia 1908 roku dwie misye, w których brał udział. Podajemy to w skróceniu.

Misya w Ulrichskirchen. Dnia 7. listopada zaczęła się pierwsza misya, o którą poprosił dawny przyjaciel Misyonarzy ks. Franciszek Zotty, obecny proboszcz w Ulrichskirchen. Pochodzi on z Fischamend, gdzie niegdyś był wikarym ś. p. ks. Ferdynand Nachtigall. On to właśnie dopomógł ks. Zotty w studyach, to też zawsze w jego pamięci żyje, a portret zmarłego jest jedną z największych ozdób salonu recepcyjnego. Z tą czcią dla długoletniego dyrektora seminaryum w Gracu łączył ks. Zotty przyjaźń dla całego Zgromadzenia; to też w dawniejszych latach bywał częstym a bardzo miłym gościem u konfratrów w dawnym domu w Neudorf.

Ulrichskirchen leży na linii kolejowej Wiedeń-Berno. Mieszkańcy trudnią się przeważnie uprawą wina, które w tym zwłaszcza roku udało się nadzwyczajnie. To też w czasie misyi trzeba było od czasu do czasu wracać do tematu o wstrzemięźliwości, choć ks. proboszcz prosił o łagodność pod tym względem.

Misya szła zwyczajnym trybem. Misyonarzy było trzech. Wierni pilnie uczęszczali na kazania, a do spowiedzi św. przystąpiło 800 osób. Ponieważ w Ulrichskirchen misyi jeszcze nigdy nie było, spowiadali się niemal wszyscy z całego życia. Na potrzebę spowiedzi generalnej wskazywaliśmy też ustawicznie w naszych przemówieniach.

Wspaniale wypadła konkluzya. Dziewczęta z największą starannością ozdobiły krzyż misyjny, a młodzieńcy wyznaczeni do niesienia go stanęli wszyscy czarno ubrani z wianuszkami na ręku. Przy ślicznej pogodzie posuwał się pochód uroczysty, wśród którego widziałeś miejscową straż pożarną, weteranów i znaczną liczbę dziewcząt w bieli. Ostatnich słów wysłuchali wszyscy z wielkiem wzruszeniem, z radością dziękowali Misyonarzom za tyle chwil błogich dla duszy i obiecywali, że nigdy nie zapomną o misyi.

Misya w Apatin. Dnia 26. listopada ruszył znów ks. Legerer na misye; tym razem w towarzystwie księży Aronffy i Guszich do Apatin, w południowych Węgrzech nad granicą chorwacką. Ludność tej miejscowości dochodząca pokaźnej liczby 14 tysięcy, to sami Szwabi, którzy się tutaj osiedlili po wojnach tureckich, a pracą i oszczędnością doszli do znacznej zamożności. Żyzność gleby oraz łatwość zbytu płodów ziemnych, to źródła tego dobrobytu.

Misye urządzono w ten sposób, że w święta i niedziele bywały po trzy kazania, w dni powszednie po dwa. Obszerny, na cztery tysiące dusz kościół, był zazwyczaj nabity słuchaczami; ale szczególniej w dniu 3. grudnia wieczorem na nauce o Przenajświętszym Sakramencie tylu się zeszło, że mnóstwo ludzi nie mogło już dostać się do wnętrza świątyni. Jeden ze znakomitszych obywateli rzekł wówczas do proboszcza: „Od czterdziestu już lat nie chodziłem wcale do kościoła, dzisiaj przyszedłem, alem się doń nie dostał". A kaznodzieja z wielkim zaledwo trudem przecisnąć się zdołał wśród tego tłumu na ambonę.

Nie obyło się bez widocznych skutków łaski Bożej. Wszyscy byli wzruszeni, dużo było nawróceń; a Pan Bóg dziwnymi do tego pomagał sposobami. Jeden z obywateli, dawno już nie uczęszczający do kościoła, zakazał swej żonie wszelkiego udziału w misyi; w tem zapadł nagle na ciężką chorobę, to też zaraz pozwolił żonie na wszystko. „Choćbyś — powiada — i sześć razy na dzień chodziła do kościoła, to ci nie bronię; ja sam pójdę, jeśli zdrów będę". Innym wido-

cznym znakiem działania Boga było cudowne uzdrowienie pewnej ośmnastoletniej osoby. Od dwu lat miała nogi zupełnie sparaliżowane, mogła tylko o kulach chodzić. Uczęszczała jednak stale na wszystkie ćwiczenia misyjne. W ostatnim dniu misyi po Komunii św. uczuła nagle jakąś przemianę w nogach — i już bez wszelkiej podpory wróciła swobodnie do domu. Matka jej oczom swym nie chciała wierzyć, gdy ją zobaczyła zupełnie zdrową. Wszystko to nie mało musiało podziałać na umysły wiernych.

Dziesięć dni trwała misya. Liczba spowiedzi wynosiła przeszło 3.700; a były to przeważnie spowiedzi z całego życia, gdyż poprzednia misya odbyła się tutaj w r. 1838. Dawali ją Jezuici, a wśród nich sławny O. Zimmermann, który potem padł ofiarą poświęcenia na misyach w Zambezie w Afryce. Konkluzya wypadła w samą uroczystość Niepokalanego Poczęcia. Nazajutrz trzydziestu Apatińczyków odprowadziło Misyonarzy na stacyę kolejową, o dwie mile stamtąd odległą, żegnając ich z nadzwyczajną serdecznością i wdzięcznością.

Fryburg szwajcarski. — *Pięćdziesięcioletni jubileusz sprowadzenia SS. Miłosierdzia.*

Dnia 22. listopada 1908 r. święciły Siostry we Fryburgu pięćdziesiątą rocznicę osiedlenia swego w tem mieście. Dzisiejszy wspaniały zakład o rozlicznych dziełach, zawdzięcza pierwsze swe początki francuskiej hrabinie de la Poype. Pobożna ta pani już 5. maja roku 1841 ofiarowała ówczesnemu biskupowi Lozanny i Genewy (rezydującemu we Fryburgu) ks. Jenny znaczniejszy kapitał na zakupno domu na pomieszczenie dwunastu sierót, które miały się wychowywać pod opieką SS. Miłosierdzia; zapewniła nadto 4.000 fr. rocznej renty na utrzymanie zakładu. SS. Miłosierdzia jednak podówczas z wielu powodów nie mogły fundacyi przyjąć, oddano ją przeto innym zakonnicom; a gdy zamieszki rewolucyjne z roku 1848 je rozpędziły, powierzono zakład opiece osób świeckich.

W r. 1858 zwrócił się biskup z ponowną prośbą do SS. Miłosierdzia, to też 21. listopada tegoż roku widzimy córki św. Wincentego we Fryburgu. Pod opieką Maryi w dzień uroczysty Jej Ofiarowania objęła S. Thierry wraz z dwiema towarzyszkami opiekę nad dwunastu sierotami w domu pod wezwaniem Opatrzności Boskiej.

Szczupły zrazu zakład zaczął się stopniowo powiększać i rozszerzać. Zakupiono z czasem obszerne zabudowania po Redemptorystach i wiele innych domów okolicznych. Równocześnie powiększono liczbę Sióstr; w r. 1880 było ich już 16. Wzrastała też liczba sierot, pomnażały się zajęcia wewnętrzne, jak szpital, przytulisko dla starców, pensyonat i t. p.; dodawano i dzieła zewnętrzne, jak szkoły, Dzieci Maryi i inne. W r. 1899 objęły Siostry opiekę nad przychodniemi dziewczętami, w r. 1903 ochronkę, w r. 1905 szkołę prasowania, w r. 1906 rozdawanie lekarstw, w r. 1908 szkołę szycia.

Jak Opatrzność Boska, pod której wezwaniem jest ten zakład, błogosławiła temu dziełu obszernemu w ciągu tych lat pięćdziesięciu, niech świadczą następujące dały porównawcze. Dnia 21. listopada 1858 były 3 Siostry i 12 sierot. Dnia 21. listopada 1908 było Sióstr 35, innych osób do pomocy 19; chorych w szpitalu 40, starców w przytulisku 70, pensyonarek 30, w szkole szycia lub prasowania 30 dziewcząt oraz 90 sierót. Dodajmy do tego szkołę dziewcząt przychodnich z 212 uczennicami, dwie ochronki liczące razem 220 dzieci, stowarzyszenie Dzieci Maryi, złożone ze 180 dziewcząt, nadto 50 dziewcząt przychodnich, zostających pod opieką i dozorem Sióstr.

To też nic dziwnego, że dzisiejszy sędziwy następca św. Franciszka Salezego, ks. biskup Deruaz w liście z dnia 20. listopada 1908 r., wystosowanym do Sióstr fryburskich z okazyi obchodu jubileuszowego winszuje im tak wielkiego powodzenia i błogosławi im ze serca na dalszą zbożną pracę.

Stany Zjednoczone. O pracy konfratrów z prowincyi zachodniej donosi ks. Shaw w swym liście do O. Generała z dnia 14. października 1908 r. następujące szczegóły: „Mogę

pochwalić się szczęśliwą nowiną, mianowicie, że tegororoczne rekolekcye dla kapłanów trzech dyecezyi, Denver, Dallas i Oklahoma, dawali synowie św. Wincentego, a z łaski Bożej z wielkiem powodzeniem. Na misyach pracuje obecnie ze mną dwu niedawno wyświęconych konfratrów: ks. Jan Sclereth i ks. Ksawery Feely. Obydwaj byli bardzo wątłego zdrowia, a jednak, odkąd zaczęli pracować na misyach, trudy misyjne nietylko zdrowia im nie nadwyrężyły, ale nawet siły ich wzrastają widocznie. W krótkim czasie daliśmy sześć po tygodniu trwających misyi w górach Skalistych, głównie w stanie Colorado. Mieliśmy wiele pociechy z powodu licznych nawróceń. Biedny ten lud, którego tu zapędziła chęć zarobku większego, dostawszy się ze wschodniej części Ameryki, gdzie życie katolickie daleko bujniej się rozwija, w te strony, których głównem bożyszczem jest złoto, nie miał nawet czasu myśleć o potrzebach duszy. To też spotykaliśmy całe rodziny, które latami nie chodziły do kościoła, nie uczęszczały do Sakramentów świętych; bywali nierzadko i tacy, co po czterdzieści lat nie spełniali żadnych obowiązków chrześcijańskich. Od dwudziestu już lat pracuję w tych okolicach, a zdaje mi się, że coraz bardziej się sprawdzać zaczynają słowa Apostoła: *Omnes, quae sua sunt, quaerunt, non quae Jesu Christi.*

W r. 1907 otrzymali Misyonarze nowy posterunek, seminaryum duchowne w Denver, stolicy stanu Colorado. Gmach to wielki czteropiętrowy, z cegły, zbudowany w stylu romańskim. Ma dwie piękne i obszerne kaplice, jedną dla Zgromadzenia, drugą dla seminaryum; czterdzieści pokojów mieszkalnych, nadto obszerne sale szkolne, rekreacyjne, dla studyum; wielki i wygodny refektarz. Seminaryum to otwarto w 29. września 1907 r. Obecnie jest tam pięciu konfratrów, jeden świecki ksiądz i 8 kleryków.

Meksyk. — *Nowy dom misyjny w Merida, na półwyspie Jukatan.* We wschodniej części miasta Merida wznosi się w przepięknem położeniu okazały kościół, pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny z Lourdes. Zbudowała go dla Misyonarzy p. Loreto Peon y Peon, na znak szacunku, jaki zawsze żywiła

dla naszego Zgromadzenia. Kamień węgielny kładziono 11. lutego 1889, a w styczniu 1902 otwarto dom Boży dla nabożeństw. Obok kościoła rozciąga się śliczny ogród, a po obydwu bokach świątyni wygodne mieszkania dla Misyonarzy. Całą posiadłość wraz z ogrodem warzywnym otacza mur, zdobny w piękne filary.

Na życzenie rodziny Peon wyznaczył ówczesny wizytator meksykański, ś. p. ks. Ildefons Moral, księdza Emanuela García na kapelana przy nowym kościele i zamianował go dyrektorem misyi. Nowa kolonia misyonarska miała wszakże podlegać superyorowi seminaryum w Merida.

W akcie fundacyi zaznaczono, że ówczesny ojciec duchowny w seminaryum, ks. Mejia, zdobył sobie przez wielkie poświęcenie dla dobra mieszkańców półwyspu i przez piękne swe przymioty wielką miłość i zaufanie u ludności, a zwłaszcza u rodziny Peon.

Dzisiaj zmieniły się nieco stosunki. Ks. Mejia został tymczasem wezwany na stolicę biskupią, a ks. García musiał z powodu nadwątlonego zdrowia przenieść się do domu Centralnego w Meksyku. Dom zaś przy kościele Najśw. M. P. z Lourdes w Merida otrzymał osobnego superyora w osobie ks. Jakóba Rodriguez, który wraz z trzema konfratrami oddaje się gorliwie pracy misyonarskiej. W kilku latach istnienia tego domu dali tutejsi konfratrzy trzydzieści misyi większych w różnych miejscowościach, a pięćdziesiąt mniejszych po farmach. Gorliwie zajęto się też w ostatnich latach indyjskim szczepem Kanha.

Chiny. — Stan misyi chińskiej był w r. 1908 następujący (Por. O. Krose, Kirchliches Handbuch, na r. 1908).

Ilość katolików w obrębie wszystkich misyi chińskich i w krajach przyległych wynosi przeszło milion, z czego na Europejczyków przypada zaledwo 10 tysięcy; a katechumenów jest około pół miliona. Olbrzymi ten obszar misyjny rozpada się na 38 wikaryatów apostolskich i 4 prefektury apostolskie. Pracą misyonarską zajmuje się 1.751 księży, z których 550 krajowców. W seminaryach przygotowuje się

do kapłaństwa 1.640 alumnów tubylców. Braci zakonnych jest mała liczba, bo tylko 291; za to zakonnic liczy się 3.846, a z nich zaledwo 600 europejskiego pochodzenia. Liczba katechistów wynosi 7.000. Szkół jest 4.821, a w nich młodzieży uczącej się 118.013. Pokaźna ta cyfra jest dowodem, ile misye robią dla wykształcenia krajowców i dla postępu cywilizacyi.

Obok księży świeckich, chińskiego lub europejskiego pochodzenia, lwią część pracy mają w swych rękach różne zgromadzenia i stowarzyszenia misyjne, jak Augustyanie, Dominikanie, Franciszkanie, Jezuici, Kongregacya z Scheutveld, Verbiści, oraz seminarya misyi zagranicznych: paryskie, medyolańskie, rzymskie, parmeńskie.

Naczelne stanowisko, choć nie co do rozległości obecnego pola pracy, przypada na mocy dekretu Propagandy z d. 7. grudnia 1783, naszemu Zgromadzeniu, w którego ręku jest metropolia pekińska oraz sześć innych wikaryatów apostolskich. Według cyrkularza noworocznego, stan misyi naszych w Chinach jest bardzo pocieszający. Liczba katolików wzrosła w ciągu ubiegłego roku (1908) z 216.806 na 259.976, a liczba przyjętych do katechumenatów z 32.655 na 46.827. Nie uwzględniono w tej liczbie mnóstwa dorosłych osób, które proszą o chrzest i pouczenie w zasadach wiary, a mieszkają u swej rodziny; liczą takich 76.654, a zatem o 22.156 więcej niż w roku poprzednim. Oprócz tego 56.228 dzieci pogańskich dostąpiło łaski chrztu św. Dla głoszenia zasad wiary katolickiej wszystkim tym duszom mamy, nie licząc bardzo licznych katechistów, 145 Misyonarzy europejskich, a 35 krajowców, nadto 11 księży świeckich z Europy i 89 Chińczyków.

Dom wychowawczy w Kia-szing-fu, który już wydał bardzo piękne owoce, liczy obecnie 16 kleryków na studyach, a 8 w seminaryum. Otrzymaliśmy pozwolenie na otwarcie Seminaryum Internum na północy, z powodu wielkich trudności, jakich doznają postulanci z tamtych stron w przyzwyczajeniu się do klimatu w Kia-szing-fu. Odnośny reskrypt Kongregacyi „Religiosorum Sodalium“ nosi datę 9. grudnia 1908 roku.

Praca naszych konfratrów rozciąga się na trzy prowincye: Czeli, Kiang-si i Czekiang. W prowincyi Czeli mamy trzy wikaryaty, północny (1783, 1856), wschodni (1899) i południowo-zachodni (1858), (czwarty, południowo-wschodni mają Jezuici); w Kiangsi także trzy: północny (1838, 1879), południowy (1879) i wschodni (1885); a w Czekiang jeden (1839). „Lwia część pracy i całego personalu misyjnego oraz liczby katolików, pówiadają „Katholische Missionen", przypada na wikaryat północnego Czeli czyli w Pekinie, który należy do najlepiej zorganizowanych posterunków w Chinach".

Ningpo. — Ks. biskup Reynaud, wikaryusz apostolski Czekiangu pisze następujące szczegóły o domu SS. Miłosierdzia.

„Dzień 27. listopada był dla pierwszego domu Sióstr w Chinach chwilą wielkiej radości i szczęścia. Gmina chrześcijańska tamtejsza rzadko ogląda podobne uroczystości. Była to koronacya Matki Najśw. od Cudownego Medalika. — Zakład Sióstr to niejako całe miasteczko, podzielone na dzielnice pełne ruchu i życia. Żłobek, dom sierót, szkoły, pracownie, warsztaty, szpital, schronisko dla starców, dom dla nieuleczalnych, katechumenat itd., wszystko to rojne zakłady, rozciągające się na znacznej przestrzeni, a zaludnione blisko 500 osobami. Kaplicę odrestaurowano i rozszerzono znacznie, z powodu ciągłego wzrostu liczby mieszkańców zakładu.

„Prócz tego mają Siostry dom na przedmieściu miasta Ningpo, pod wezwaniem św. Wincentego. Jest to przytulisko dla wszelkiego rodzaju nędzarzy, dla starców, sierot, kalek, matołków, chorych itd. Tyle tam dzieje się dobrego, że sami poganie poczuwali się do obowiązku wspierania tego dzieła miłosierdzia. Ich to głównie datki przyczyniły się do zbudowania zakładu takiego, jaki dziś mamy przed sobą. Położony jest w miejscu pięknem, a obszerny, gromadzi więc znaczną liczbę nieszczęśliwych; niejeden zresztą woli raczej noc spędzić na podłodze w zakładzie, niż odejść dla braku miejsca. Wszystkich pogan chowa się w trumnie, co oni uważają za najwyższe szczęście; ale przedewszystkiem żaden nie schodzi ze świata bez chrztu św."

Dekreta Stolicy św.

1. Pozwolenie dla Sióstr zakrystyanek na pranie bielizny kościelnej i dotykanie naczyń świętych.

Prośba:

Ojcze święty!

Ks. Antoni Fiat, przełożony generalny księży Misyonarzy i SS. Miłosierdzia, upadłszy do stóp Waszej Świątobliwości, przedstawia następującą pokorną prośbę. — Reskryptem św. Kongregacyi obrzędów z r. 1898 otrzymałem dla Sióstr Miłosierdzia, obsługujących zakrystyę, na dziesięć lat ponowne pozwolenie, żeby mogły dotykać naczyń świętych i prać bieliznę kościelną. Ponieważ ono się obecnie kończy, upraszam pokornie o odnowienie takowego.

Reskrypt:

Św. Kongregacya Obrzędów pozwoliła, na mocy pełnomocnictwa uzyskanego od Ojca św. Piusa X., aby Siostry czyli Córki Miłosierdzia, sprawujące urząd zakrystyanek, mogły świętych naczyń dotykać i prać bieliznę kościelną. Należy jednak powiadomić o tem kuryę biskupią dyecezyi, w której przebywają rzeczone SS. Miłosierdzia.

Dnia 27. lutego 1909.

S. Kard. Martinelli, prefekt.
D. Panici, sekretarz.

2. Władza święcenia i ubogacania odpustami medalików Dzieciątka Jezus. (Cfr. Acta Apostolicae Sedis, 1909, Nr. 6, pag. 276).

Ojciec św. Pius X. pozwolił, dnia 18. marca 1909, wszystkim księżom tak świeckim jak zakonnym, którzy mają

władzę nadawania odpustów t. zw. papieskich, na koronki, krzyżyki, figurki, medaliki i t. d., że mogą błogosławić także medaliki Dzieciątka Jezus i nadawać na nie odpusty 50 dni, które można za zmarłych ofiarować. Warunkiem zyskania odpustu jest ze skruszonem sercem rzeczony medalik pocałować i odmówić westchnienie: *Najw. Dziecię Jezus błogosław nas.* Ktokolwiek zaś w chwili śmierci taki medalik pocałuje i po Spowiedzi i Komunii św. lub przynajmniej wzbudziwszy akt żalu doskonałego wzywa imienia Jezus usty lub przynajmniej sercem, oraz śmierć jako karę za grzechy przyjmie z ręki Boga, zyskuje odpust zupełny.

Władza ta zatem przysługuje wszystkim księżom Misyonarzom, gdyż według *Collectio privilegiorum*, Nr. 308, mamy pozwolenie nadawać odpusty papieskie na koronki, krzyżyki, medaliki itd. — Zaznaczyć należy, że w tym celu wystarczy *zrobić* nad danym przedmiotem *znak krzyża św. (Coll. privilegiorum Nr. 310.).*

Stowarzyszenie Cudownego Medalika.

Z powodu licznych wątpliwości, podnoszonych co do Stowarzyszenia Cudownego Medalika, zamieszczamy tutaj odpowiedź na niektóre kwestye.

O. Generał pisze w swym liście z dnia 22. marca b. r., co następuje:

„Stowarzyszenie Cudownego Medalika zaprowadzono kanonicznie i jako siedzibę naznaczono mu kaplicę cudownych objawień. Wystarcza to, aby odpusty przywiązane do niebieskiego szkaplerza pozyskiwać mogli wszyscy ci, którym mający odpowiednią władzę kapłan włoży Cudowny Medalik w sposób i według formuły, przepisanej przez Leona XIII.

„Jeżeli biskupi zechcą dla większego rozpowszechnienia Stowarzyszenia mieć w swych dyecezyach osobne stowarzyszenie dyecezalne (do głównego agregowane), to muszą je

kanonicznie zaprowadzić w jakimś wybranym przez siebie kościele, oraz naznaczyć dyrektora dyecezalnego, którego ja z góry zatwierdzam.

„Wpisy są do ważności przyjęcia niepotrzebne. Może być, że biskupi będą ich wymagali dla nadania stowarzyszeniu większej spójni; ale i wtenczas nie jest to koniecznym warunkiem do pozyskania odpustów.

„Trzeba jak największą liczbę kapłanów delegować dla wkładania Cudownego Medalika. Starania czynione w Rzymie w tym celu, by i księża wizytatorowie mogli także w obrębie swych prowincyi delegować na to obcych kapłanów, nie odniosły skutku; potrzeba delegacyi Przełożonego generalnego. Mogę wszakże nadsyłać w potrzebnej ilości odpowiednie dyplomy“.

Według tej odpowiedzi zatem do ważności przyjęcia i należenia do Stowarzyszenia niepotrzebne jest zaprowadzenie osobnego filialnego stowarzyszenia w dyecezyi.

We wielu dyecezyach francuskich pozaprowadzali już biskupi takie stowarzyszenia dyecezalne, n. p. w dyecezyi Cambrai, jak to czytamy w tamtejszej *Semaine religieuse* z 20. marca b. r. Znajdujemy tam również odpowiedź na wątpliwość, czy ci, którzy Cudowny Medalik przyjęli według przepisanej formy jeszcze przed ustanowieniem Stowarzyszenia, są obowiązani na nowo Medalik przyjąć, jeżeli chcą do Stowarzyszenia należeć. Według decezyi naszego O. Generała, zamieszczonej już poprzednio w paryskiej *Semaine religieuse* z 30. stycznia b. r., a powtórzonej w Cambrai, jest nowe wkładanie Medalika niepotrzebne.



Ś. p. ks. Amedeusz Allou.

(Cfr. Annales z r. 1909, Nr. 2).

Dnia 5. lutego b. r. zeszedł z tego świata w domu Macierzystym w Paryżu ks. Allou, który przez dwadzieścia lat sprawował urząd Asystenta Zgromadzenia, a dopiero przed niespełna dwu laty dla wielkich cierpień poprosił o zwolnienie z tego obowiązku.

Ks. Allou, urodził się dnia 23. sierpnia 1833 w Méziers w dyecezyi Amiens w Pikardyi. Nauki pobierał w małem seminaryum dyecezyalnem w Saint-Riquier, filozofię zaś i teologię w seminaryum duchownem w Amiens. Poznawszy nieco sposób życia Księży Misyonarzy, zatęsknił za tym rodzajem służenia P. Bogu, i zaledwo otrzymał niższe święcenia, poprosił o przyjęcie do Zgromadzenia w r. 1855. Całem swem życiem udowodnił, jak szczere wtedy kierowały zamiary tem gorącem sercem młodocianem. Z powodu znakomitych zdolności, był po wyświęceniu na kapłana kolejno profesorem w seminaryum w Evreux, w Sens, wreszcie w Carcassonne, gdzie nakoniec sprawował urząd superyora. Stamtąd też powołano go w r. 1887 do Paryża, do rady O. Generała.

Z wielkiem uzdolnieniem do swych obowiązkowych zajęć łączył szersze wykształcenie umysłowe. — Bardzo troskliwie oddawał się swym obowiązkom jako Asystent i członek rady O. Generała. Chętnie opowiadał o sobie, że codzień stale poświęcał znaczną część swego czasu studyowaniu tego, co się odnosi do Zgromadzenia, rozczytywał się w okólnikach przełożonych generalnych, albo powtarzał i utwierdzał w pamięci to, co mu potrzebne było do zarządu Zgromadzenia.

Na naradach odznaczał się wrodzoną, jak gdyby instynktową roztropnością i stanowczością. W decyzyach zawsze cofał się przed tem, co mogło być ryzykowne.

Owocem jego studyów nad Zgromadzeniem jest w trzech tomikach w rękopisie zachowany *Krótki rys historyczny Zgromadzenia* (Précis de l' histoire de la Congrégation de la Mission), od początku aż do rządów O. Boré. Stoi więc ks. Allou obok tych kilku z naszych, którzy przyczynili się nieco do znajomości dziejów Zgromadzenia, jak ks. Józef Lacour, który notatki swe doprowadził do r. 1747 i ks. Gabryel Perboyre (kuzyn Błogosławionego), który skreślił dzieje rządów Ks. Cayli oraz tak zwan. okresu wikaryuszów generalnych (1800—1827). Ks. Allou dał pod swoją pracę nieco tła historycznego. Opowiadanie swoje podzielił według rządów przełożonych generalnych, a korzystał przeważnie z cyrkularzy.

Z gorliwością w spełnianiu swych obowiązków łączył Ks. Allou zainteresowanie się postępem literatury i nauki. Oczytany bardzo znał się na wszystkich najnowszych zdobyczach w dziedzinie teologii, ekonomii społecznej i polityki; z każdym umiał porozmawiać, we wszystkiem odznaczał się trafnym sądem. Zajmował się bardzo geografią, historyą, ekonomią społeczną. Szedł zawsze z postępem wiedzy. Gdy nowe opinie się wyłaniały, on nie potępiał ich nigdy z góry, wprzód studyował pilnie, z roztropną ostrożnością i według tego potem urabiał sobie sąd o rzeczach.

Gdy siły jego fizyczne się wyczerpały, poprosił o zwolnienie z ważnego posterunku, który zajmował. Pełen ducha kapłańskiego i misyonarskiego podtrzymywał wciąż w sobie to święte zarzewie wiernem i pilnem odprawianiem ćwiczeń duchownych. To też nic dziwnego, że choć życie ciała wymykało mu się, życie duchowne nie malało wcale; a zajaśniało przedewszystkiem przy przyjęciu ostatnich pociech religijnych przed śmiercią.

Nazajutrz po śmierci Ks. Allou, jeden ze znakomitych duchownych paryskich przesłał list z gorącymi wyrazami współczucia dla Zgromadzenia z powodu poniesionej straty.

Znał on zmarłego od lat wielu i był jego przyjacielem, a przez dłuższy czas codzień niemal go odwiedzał. Mówił o nim: „Nie podobna było częstych i blizkich mieć stosunków z człowiekiem o umyśle tak wzniosłym i duszy tak głębokiej, żeby się na zawsze nie wrył głęboko w pamięci“.

Ks. A. M.

Ś. p. Siostra Marya Feicht.

Siostra Marya (w Zgromadzeniu Helena) Feicht, urodziła się dnia 8. sierpnia 1878, wstąpiła zaś do Zgromadzenia dnia 14. maja 1899. Po nieodżałowanej śmierci ukochanej tej Siostry, towarzyszki jej przysłały nam swoje uwagi, w których wykazują, jak ta dobra Córka Miłosierdzia pojmowała cel swego życia, jak ceniła ślub służenia chorym. Po wzięciu sukni, umieszczona w szpitalu w Brzeżanach, odznaczała się wielką gorliwością, taktem i roztropnością, co jej zjednało szacunek lekarzy, a uwielbienie ubogich. Lecz po paru latach, Bóg zażądał od niej ofiary z pierwszego tego urzędu i zastał jej serce gotowe na każde skinienie woli przełożonych. Przeniesiona do Zakładu nieuleczalnych we Lwowie, oddała się zaraz z największem poświęceniem nowym swoim obowiązkom, pielęgnowała najtrudniejszych chorych, nie wzdrygała się przed najobrzydliwszemi ranami, a za prawdziwe szczęście i najściślejszy obowiązek poczytywała sobie czuwanie nocne. I tak spracowana, umęczona, z jakąż radością pośpieszała na rekreacyę, której była prawdziwą duszą, gdyż była bardzo wesoła i szczerze kochała swoje towarzyszki.

W tym domu ciągle przechodziła z jednego urzędu na drugi, a wszędzie zostawiała po sobie żal i powszechne uznanie. Ale praca tak wyczerpująca musiała nadwyrężyć zdrowie ukochanej Siostry Heleny; nabawiła się choroby płucnej, bo nie pojmowała, jak Córka Miłosierdzia może reflektować na siebie, jak może się oszczędzać. Z posłuszeństwa jedynie poddała się przymusowemu spoczynkowi i kuracyi, ale i wten-

czas jeszcze była bardzo użyteczną, pomagając swej Siostrze Przełożonej w prowadzeniu kancelaryi i t. p. Ta Szanowna Siostra, w kilku słowach, streszcza najdonioślejsze cnoty świątobliwej swej towarzyszki: „Zawsze szczera, otwarta, zawsze bardzo regularna. Nie pamiętam, aby niezgoda lub zazdrość zakłóciły choć na chwilkę spokój w Rodzinie“.

Wszelkie starania lekarzy i najtroskliwsza opieka Zgromadzenia okazały się jednak bez skutku. Siły Siostry Feicht niknęły, życie wyraźnie gasło. Brakowało tej pięknej duszy jeszcze ostatniej ozdoby, której się tylko w ogniu doświadczeń i choroby nabywa. Gdy więc lekarze orzekli, że stan jej beznadziejny, Czcigodni Przełożeni przywołali ją do Domu Centralnego, gdzie natychmiast przeszła do infirmeryi i tam dowiodła, jak to jest wielką prawdą, że w chorobie dopiero pokazuje się prawdziwa cnota.

Do infirmeryi Domu Centralnego przybyła S. Feicht, dnia 1. września 1908, pełna nadziei w uleczenie swoje. Z doskonałą uległością dla przepisów lekarza, ale zarazem i ze spokojem zupełnym, poddała się leczeniu, wzdychając do pracy, do poświęcenia, bo jej miłość dla ubogich i dla Zgromadzenia nie zasadzała się na czczych sentymentach, ona potrzebowała dać dowody, że całą duszą oddała się Bogu.

Znając się na chorych, rozumiała stan swego zdrowia, wiedziała dobrze, że jest suchotnicą, nie wspominała jednak nigdy o tej wybitnej cesze suchotników, t. j. że do ostatniej chwili łudzą się nadzieją wyzdrowienia, bo też biedaczka sama w wysokim stopniu jej podlegała. Ale to pragnienie zdrowia nigdy nie zamąciło ani spokoju, ani miłej swobody jej serca. Zawsze wesoła, uprzejma, dowcipna, figlarna nawet, zyskała od razu wszystkie serca, chociaż w całem jej postępowaniu nie było nic nadzwyczajnego, ani uderzającego, ale na każdym kroku można było powiedzieć, że była taką, jaką być powinna dobra Córka Miłosierdzia. Miała wielkiego ducha wiary, wielką ufność w dobroci Bożej. Okazywało się to szczególnie w ostatnich trzech miesiącach jej życia, kiedy zrozumiała dobrze, że wszelkie środki ludzkie już wyczerpane,

że nadziei wyzdrowienia mieć już nie można. W jakichże uczuciach miłości i wdzięczności rozpływała się ta ukochana Siostra! Ileż razy na dzień powtarzała: „Ach! jakiż On dobry, ten Pan Jezus! jakież to szczęście być w Zgromadzeniu“! Myśl o codziennej Mszy i Komunii św. w infirmeryi, łzy wdzięczności jej wyciskała: „Przecież nikt na świecie, ani sam Ojciec św. nawet, szczęśliwszym od nas być nie może“. Kiedy raz mówiono o odpustach, o czyścu i t. p., ona z całą dziecięcą ufnością zawołała: „Ja wcale o siebie się nie troszczę, niech sobie Pan Jezus robi ze mną, co Mu się podoba — ja cała Jego jestem“. Dawniej miewała straszne niepokoje i bojaźń sądu Bożego, ale ta prosta uwaga, że Pan Jezus bardziej jeszcze pragnie naszego zbawienia, aniżeli my sami, gdyż On sam najlepiej zna wartość Krwi Swojej Najświętszej, rzuciła jakby nowe światło na tę udręczoną duszę i ustaliła w niej ufność, niczem już odtąd nie zamąconą.

Cały czas jej pobytu w infirmeryi był prawdziwą rozkoszą dla obsługujących ją. Z wielką prostotą, połączoną z delikatnością i doskonałą obojętnością, przedstawiała potrzeby swoje, za wszystko zawsze tak serdecznie dziękowała, nie narzekała nigdy na straszne cierpienia swoje. Wogóle tylko w razie potrzeby mówiła o swojej chorobie. Od początku grudnia stan jej zdrowia coraz się pogarszał, a od połowy miesiąca, zaczęło się prawie codzienne konanie. Puchlina posuwała się coraz wyżej, każde poruszenie sprawiało jej ból niesłychany. Była spragniona snu, a usnąć nie mogła, bo każde oparcie głowy na poduszkę zapierało jej oddech. Cieszyła się bardzo, że dożyła jeszcze Bożego Narodzenia (czego nikt się nie spodziewał), bo, powiada, „wolę, że mię sądzić będzie maleńki Pan Jezus, ja się Go nic nie boję, On taki dobry“! Ale i czas Bożego Narodzenia minął, a ukochana Siostra Feicht oczyszczała się jeszcze w tym ogniu probierczym i każdego dnia nowe zasługi na niebo zbierała. O ile na początku choroby pragnęła wyzdrowieć, by służyć Bogu w osobie ubogich, o tyle później, poznawszy, że wolą Bożą jest, aby się uświęcała przez chorobę, już tylko do

ściślejszego z Nim połączenia dążyła. Rada była ciszy i spokojowi w infirmeryi, aby się nacieszyć Panem Jezusem po Komunii św., a potem nadzieją jeszcze ściślejszego zjednoczenia z Nim, w niebie.

Kilka razy dostawała tak silnego ataku duszności, żeśmy się przy niej jak za konającą modliły, a kiedy potem przyszła do siebie, żałowała zawsze, że to nie była jeszcze prawdziwa śmierć, tak serdecznie tęskniła do nieba; i czuło się to rzeczywiście, że już tylko tem biednem zbolałem ciałem była tu na ziemi. Siostry Domu Centralnego ubiegały się o łaskę czuwania przy niej, bo czuły, że to była anielska istota. Ale też i nieprzyjaciel zbawienia naszego, czyhał na jej drogą duszę. Raz, zdrzemnęła się trochę, nagle z przerażeniem woła: „Siostro! proszę mię prędko święconą wodą pokropić", a na zapytanie, co się jej stało, ze drżeniem i łzami zaczęła opowiadać, że zdawało się jej, że była na sądzie Bożym i że tam wszyscy Święci i Aniołowie zaczęli ją tak wychwalać, że ją aż nad samego Boga wynosili. „O! cóżto za obrzydliwe bluźnierstwo; mnie, nędzną grzesznicę porównywać z Bogiem i nad Boga wynosić! Takie bluźnierstwo tylko sam szatan mógłby wymyślić! On pewno ma apetyt na moją duszę... O! nic z tego! Pan Jezus więcej pragnie mojego zbawienia, niż ja sama, On taki dobry!" I zaczęła wzbudzać akty pokory, ufności i miłosnej tęsknoty za niebem. Dwa miesiące takiej walki życia ze śmiercią minęły, aż doczekaliśmy się końca jubileuszu N. Maryi Panny z Lourdes. Rozpoczęłyśmy więc raz jeszcze Nowennę dla uproszenia zdrowia kochanej naszej umierającej, które już tylko cudownym sposobem otrzymaćby mogła. Pierwsze sześć dni były jak poprzednie, te same cierpienia, takiż sam brak oddechu, ale nadzieja, która tak lubi wciskać się do serc biednych suchotników, owładnęła i Siostrę Feicht. Było już pełno projektów na przyszłość; — opowiadała, jak teraz będzie umiała dobrze służyć chorym, jak im będzie dobrze łóżka uścielać. Obiecywała nawet, że Siostrom infirmerkom posługiwać będzie — a ile przy tem było projektów na fi-

gielki, na różne psoty... Ta nadzieja tak jakoś dodatnio wpłynęła na jej zdrowie, że w nocy z 6. na 7. dzień nowenny, uczuła się zdrowszą i silną i z radości zaczęła śpiewać: „O! mój Jezu, gdy Cię widzę“. Prześpiewała dwie strofy, ale tak dobrze, z takiem uczuciem, że znać było jej złączenie z Bogiem. Rozśpiewała się i chciała jeszcze po niemiecku śpiewać, ale Siostra Asystentka czuwająca przy niej, poradziła żeby niemieckie śpiewy dla niemców zostały, a ona sama, żeby się już nie męczyła. Przestała więc śpiewać, ale powiada: „Czy suchotnica może tak śpiewać, czy może mieć taki głos? O! ja jeszcze mogę być zdrowa, N. Panna uczyni cud“. Pod tem wrażeniem przepędziła dość dobrą noc, rano uczuła się zdrowszą. Chciała własnoręcznie napisać do swojej Siostry Przełożonej i do ukochanych towarzyszek swoich, jako też i do rodziny, wyobrażając sobie, jak się ucieszą, gdy zamiast pośmiertnej karty dostaną własnoręczne pismo. Ażeby jednak módz obszerniej pisać, odłożyła tę korespondencyę do następnego dnia, spodziewając się znaczniejszego jeszcze polepszenia. Tymczasem N. Panna większą gotowała jej łaskę — łaskę tak szczęśliwej śmierci, która nawet wybranym duszom rzadko kiedy dostaje się w udziale. Ostatni dzień nowenny był decydującym. Powróciło ogólne osłabienie, brak oddechu, męcząca senność, jednem słowem, każdej chwili można było spodziewać się śmierci. Z anielską też tęsknotą ukochana Siostra Feicht, oczekiwała tej błogiej chwili, do której przez cały czas choroby tak gorliwie się gotowała.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, Pan Jezus najczęściej doświadcza ducha wiary i ostatecznego zaparcia się naszych Sióstr umierających, zsyłając im taką samą przykrość, jakiej doznała i Chwalebna Matka nasza, będąc pozbawioną w tej stanowczej chwili pociechy duchownej z ust św. Wincentego, jako jej spowiednika. I Siostrze Feicht dostał się ten krzyżyk w udziale. Ale i to nie zamąciło ani jej spokoju, ani miłosnego poddania się woli Bożej. Z rozkoszą już mówiła o śmierci, dziękowała wszystkim za wszelkie doznane posługi. Pragnęła szczególnie okazać wdzięczność Najczcigodniejszym

Przełożonym za wszystkie łaski od nich doznane, za każde ich odwiedziny w infirmeryi i za tę nieocenioną łaskę, że jej pozwolono w Domu Centralnym chorować i umierać. Prosiła, żeby Siostry zaśpiewały *Magnificat*, jak tylko umrze, „bo to takie szczęście dostać się do nieba, a ja tak wierzę, że Pan Jezus mię weźmie, bo On taki dobry"! Ostatniego dnia Jej życia, t. j. dnia 12. lutego była bardzo śpiąca i prawie nieprzytomna podczas Mszy św., (która codziennie odprawiała się w tym pokoju, w którym Ona leżała), tak że zaczęła na głos odmawiać modlitwy przy konających i nie była w stanie przyjąć Komunii św., której nigdy nie opuszczała. W godzinę może po Mszy św. zaczęła przychodzić do siebie i z takim żalem powiada: „Mój Boże! ja taki bałwan jestem, nie mogę sobie zdać sprawy, czy ja dziś przyjęłam Pana Jezusa, czy nie?" Kiedy się dowiedziała że nie, „o! to mi Go dajcie, On mi się należy, to będzie już ostatni raz, bo dziś już umrzeć muszę"!

Za kwadrans, miała już upragnione szczęście swoje, Pan Jezus przyszedł po raz ostatni, posiąść to serce, które tak do Niego tęskniło, tak szczerze Go kochało. Po krótkiem dziękczynieniu, wpadła w wyraźne konanie. Siostry nasze poraz piąty czy szósty zebrały się, aby polecić ukochaną tę duszę miłosierdziu Bożemu. Doznała i tej nieocenionej łaski, że jeden z księży Misyonarzy, udzielił jej jeszcze raz absolucyi i znów uspokoiła się, niby usnęła. Siostry rozeszły się, została tylko jedna, modląc się ciągle. Naraz, budzi się i w patrzoną w stronę ołtarza, woła głośno: „Siostro Antonino! Siostro Antonino! prędko, zawołać Siostrę Alojzę, żeby zobaczyła Pana Jezusa, ach! jakiż On śliczny (i prowadziła Go wzrokiem jakby ku drugiej sali). Proszę mi prędko podać wody, napiję się, bo muszę iść za Nim". Wypiła pełną szklankę wody i w tej chwili skonała. I ten dobry Pan Jezus, którego tak kochała, któremu tak ufała, nie zawiódł nadziei wiernej Oblubienicy Swojej, przyszedł po nią, a Marya, Matka nasza Najświętsza, uprosiła Jej łaskę tak szczęśliwej śmierci.

Ś. p. Siostra Elżbieta Kramarek.

W dzień Matki Boskiej Bolesnej oddawaliśmy ostatnią posługę ś. p. Siostrze Elżbiecie Kramarek. Zmarła liczyła zaledwie 23 lata życia, a 4 powołania, lecz świątobliwem swoim żywotem wywarła ta pokorna córka św. Wincentego tak potężny wpływ na wszystkich ją otaczających, iż wspomnienie jej życia będzie na długie lata zachętą do dobrego i do cnoty. Była to jedna z tych dusz prostych, które ani na chwilę nie tracą pokoju. Jedna myśl ją tylko ożywiała, służyć Bogu w takiem miejscu i takim stanie, jak się to Panu Jezusowi będzie podobało, pełnić wolę Bożą, a niczego nie pragnąć, to było jej przewodnią zasadą. Jak umiała żyć po bożemu, tak też umiała po bożemu umierać. Śmierć dla niej była czemś tak naturalnem, prostem i jasnem, że ani na chwilę jej widokiem się nie przeraziła. Nie była, co prawda, wolną od bojaźni, ale prawdziwie dziecięca ufność ku Bogu, oparta na gruntownej pokorze, pobudzała ją do zupełnej rezygnacyi. Wiedziała, że jest w rękach Bożych i tam się też najbezpieczniejszą czuła. Właśnie ten jej głęboki spokój, który nie opuszczał jej ani na chwilę udzielał się wszystkim, którzy się do niej zbliżali i mimo woli każdy czuł się pociągniętym ku Bogu i ku cnocie jej budującem zachowaniem.

Siostra Elżbieta Kramarek urodziła się 2. listopada 1885 r. we Wolsztynie W. Ks. Poznańskiem. Już od lat dziecięcych odznaczała się gruntowną pobożnością, była prawdziwą perłą swej głęboko chrześcijańskiej rodziny. Nic ją nie pociągało do świata, znała tylko dwie drogi: do kościoła i do szkoły. Jeszcze jako dziecko ujmowała sobie wszystkich swą łagodnością i wielkiem posłuszeństwem. Cnoty jej po ukończonym 14 roku zaczęły się w bujny kwiat rozwijać, jak zeznają jej rodzice; cechowały ją szczególniej miłość ku bliźnim i posłuszeństwo względem rodziców.

Duszę jej wtenczas zajmował jedynie P. Jezus, skoro tylko ukończyła szkołę, zaraz chciała wstąpić do Sióstr Miłosierdzia, które mają dom w jej rodzinnem mieście. Trudno

jednak było rodzicom rozstać się z tak ukochanem dzieckiem; to też dopiero rok później pozwolili jej zamieszkać stale u Sióstr, bo choć jeszcze dla młodego wieku nie mogła być przyjętą do Zgromadzenia, przynajmniej pragnęła z nimi pracować. W lipcu 1904 r. przyjechała do Krakowa do postulatu, a ukończywszy seminaryum w r. 1905 oddawała się posługom przy chorych żołnierzach w szpitalu garnizonowym na Wawelu.

Już wtenczas ożywiało ją tosamo uczucie szukania jedynie woli Bożej, jak to właśnie widzimy z postanowień spisanych przy opuszczeniu seminaryum. W taki sposób sama nam je przedstawia w słowach pełnych prostoty i prawdy: Boże mój, najlepszy Ojcze, oto ja nędzna grzesznica rzucam się do stóp nieskończonego miłosierdzia Twego i proszę pokornie, przez zasługi P. Jezusa, za przyczyną Niepokalanej Matki i świętych Pańskich, o łaskę wykonania tych świętych postanowień, które mi sam w dobroci swojej natchnąć raczyłeś i w których z całego serca pragnę się ćwiczyć. Niczego nie pragnę ani nie żądam w tym życiu, mój Jezu, jak tylko Ciebie samego kochać, Tobie całem sercem służyć i do Ciebie tylko należeć, słowem dla Ciebie jedynie żyć i umierać. Poświęcam Ci się całkowicie i nieodwołalnie na służbę Twoją w osobie ukochanych panów naszych, ubogich, w jakiemkolwiek mię Opatrzność Twoja postawi miejscu lub urzędzie, nie zważając na wstręt i niewygody mej pysznej natury“. Nie były to tylko czcze słowa u niej, ale to stanowiło treść całej jej duszy. W szpitalu na Wawelu była prawdziwem zbudowaniem dla wszystkich, całem sercem oddała się usługom cierpiących, mimo wątłego zdrowia, które jeszcze trzy lata temu zostało nadwyrężone przez szkarlatynę, chciała w pracy dorównać innym swoim towarzyszkom, miłością swoją umiała nawet twarde serca skłaniać ku Bogu. Znaną jest rzeczą, jak dobrem słowem pociągała ku Bogu dusze, które już zupełnie o Nim zapomniały. Również wśród Sióstr, swych towarzyszek, była aniołem prawdziwym, wszystkie serca mimowoli zwracały się ku niej, bo zawsze umiała znaleźć słowo pociechy

dla innych. Jaką zdobyła sobie miłość wśród swoich, to najlepiej o tem świadczy opieka i radość, z jaką posługiwały jej towarzyszki.

Pielęgnując chorego na gruźlicę żołnierza zaraziła się i po ośmiu miesiącach boleści, padła ofiarą swego poświęcenia. Choroba rozwijała się nadzwyczaj gwałtownie, już w pierwszych dniach, jak twierdzą lekarze, pękło jej płuco, zaczem poszły liczne krwotoki; w wypadkach takich chory doznaje straszliwych cierpień, tymczasem z ust jej nigdy nie usłyszano ani słowa skargi, owszem umiała się zawsze zdobyć na wesoły humor i często, wśród bólów, bawiła swym miłym dowcipem, pielęgnujące ją Siostry. Na twarzy jej rozlany był zawsze spokój i wesoły uśmiech, szczególniej lekarze podziwiali tę cierpliwość naszej chorej. Wesołość, jak wyżej wspomniano, płynęła z zupełnego zdania się na Pana Boga. W ciężkiej swej chorobie dzięki swym cnotom nigdy nie stała się ciężarem dla Sióstr, chociaż ruszać się nie mogła, nie żądała i wtedy nadzwyczajnych posług, wogóle nie umiała myśleć o sobie. Gdy jedna z Sióstr pytała się, czy czego nie potrzebuje, prosiła ją na wszystko, aby do niej nie przychodziła, ani o niej nie myślała, bo na oddziale jest ciężko chory, który potrzebuje opieki.

Największem szczęściem, jakiego doznała w chorobie jest łaska złożenia ślubów świętych. To stanowiło jej najlepszą pociechę a zarazem tam czerpała siły do znoszenia boleści i pocieszania innych. Kiedy się dowiedziała, że rodzice bardzo się martwią jej niebezpiecznym stanem, w ten sposób łagodziła ich smutek, a było to właśnie w czasie, gdy doznawała największych cierpień: „Jestem bardzo szczęśliwą, życie mi upływa wesoło, tak jak w zdrowiu. Niech więc Najdrożsi rodzice będą spokojni o mnie, jedyną moją prośbą do Was jest, abyście się nie smucili moją chorobą, albo też wiadomością o mojej śmierci. Największem mojem szczęściem jest iż będę mogła umierać jako służebnica Pana Jezusa, a szczególniej teraz, gdy przez śluby święte mogę się nazywać Jego oblubienicą“. Podobnie pisała do swej siostry, która wstąpiła

do Elżbietanek, prosząc ją, aby we wszystkiem szukała tylko woli Bożej.

Jeżeli zawsze, to przedewszystkiem w chorobie swojej, była wzorem cierpliwości, o nic nie prosiła, ani też nic nie odmawiała; za najmniejszą zaś przysługę dziękowała serdecznem „Bóg zapłać". W ostatnim tygodniu choroby, czując blizki swój koniec, myślała tylko o Bogu i o drugich, rozrzewniający był to widok, gdy się do niej przychodziło, i widziało, tak się siliła na uśmiech, aby przynajmniej tak okazać swoją radość, skoro już słowami tego wyrazić nie umiała. Z dziecięcą prostotą przez cały ciąg choroby, nie wypuszczała z rąk krzyżyka ślubnego, a wskazując nań, mówiła Siostrom: „To moje szczęście i moje wszystko".

Pan Bóg nagrodził ją też śmiercią nadzwyczaj szczęśliwą, bez najmniejszego prawie bólu, z przytomnością do końca, zasnęła, aby się zbudzić u stóp Boskiego swego Oblubieńca. Żywimy niepłonną nadzieję, że niewinna jej dusza, wprost wzniosła się do nieba, żeby tam na wieki cieszyć się Bogiem, któremu służyła z taką szczerością i oddaniem. Rzeczywiście też nie może jej minąć wieniec nagrody, skoro jeszcze przed śmiercią z ufnem przekonaniem mogła powtórzyć słowa, że nie przypomina sobie, ażeby się kiedykolwiek wyraźnie sprzeciwiała woli Bożej.

Krótkie to wspomnienie jej wielkich cnót, niechaj pobudza nas do wdzięczności ku Bogu, że nam dał tosamo powołanie, w którem ona w tak krótkim czasie zajaśniała blaskiem żywota prawdziwie świętego.

Zmarli Misyonarze:

1. Br. Jan Bernils, 1. marca, w Puebla (Meksyk), żył lat 83, w Zgromadzeniu 58.
2. Br. Marcin Rio, 25. marca, w Valdemoro (Hiszpania), żył lat 37, w Zgromadzeniu 12.
3. Br. Benjamin Soulard, 27. marca, w Anturze (Syrya), żył lat 62, w Zgromadzeniu 42.
4. Ks. Piotr Rassat, w kwietniu, w Hang-Czeu (Chiny), żył lat 32, w Zgromadzeniu 13.
5. Ks. Walenty Matala, 2. kwietnia, w Figueras (Hiszpania), żył lat 70, w Zgromadzeniu 47.
6. Ks. Juliusz Clavelin, w kwietniu, w Rio de Janeiro, żył lat 76, w Zgromadzeniu 53.
7. Ks. Michał Maher, w Malvern (Australia), żył lat 58, w Zgromadzeniu 33.
8. Br. Tymoteusz O'Donnel, w maju, w Sheffield (Anglia), żył lat 71, w Zgromadzeniu 47.
9. Ks. Emanuel Alcade, 2. czerwca, w Madrycie, żył lat 41, w Zgromadzeniu 25.
10. Br. Klaudyusz Livet, 4. czerwca, w Paryżu, żył lat 52, w Zgromadzeniu 17.
11. Ks. Ludwik Abbate, 8. kwietnia, w Neapolu, żył lat 66, w Zgromadzeniu 31.
12. Ks. Kazimierz Arenzana, 2. czerwca, w Badajoz (Hiszpania), żył lat 45, w Zgromadzeniu 30.
13. Ks. Dyonizy Vitalis, w czerwcu, w Rio de Janeiro, żył lat 34, w Zgromadzeniu 16.

14. Ks. Józef Rubim, w czerwcu, w Petropolis (Brazylia), żył lat 31, w Zgromadzeniu 7.
15. Br. Piotr Joblok, 15. czerwca, w Dax, żył lat 64, w Zgromadzeniu 45.
16. Ks. Piotr Santamaria, 9. maja w Nueva Caceres (Filipiny), żył lat 35, w Zgromadzeniu 20.

Siostry Miłosierdzia

z prowincyi krakowskiej:

1. S. Magdalena Horla, 29. marca, w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 39, w Zgromadzeniu 15.
2. S. Elżbieta Kramarek, 31. marca, w szpitalu wojskowym na Wawelu, żyła lat 13, w Zgromadzeniu 4.
3. S. Marya Januszkiewicz, 23. kwietnia, w Choderkowcach, żyła lat 64, w Zgromadzeniu 39.
4. S. Anna Izdebska, 1. czerwca, w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 61, w Zgromadzeniu 43.

R. I. P.
